



**4** **Bagaż sukcesów**

**6** **Kalinowszczyzna**

**9** **Głośniej nad Spółdomem**

**11** **Deadline – komiks**

# MIESZKANIOUWY

Warunki życia po I wojnie światowej są dziś trudne do wyobrażenia. II RP trapił wielki głód mieszkaniowy, robotnicze rodziny żyły w skrajnej nędzy. W latach 20. XX w. w całej Polsce zaczęły powstawać spółdzielnie mieszkaniowe. Władze kraju widziały w nich nadzieję na rozwiązanie kryzysu, bo miały oferować tańsze mieszkania niż kamieniczki. Inwestycje przedwojennych spółdzielni powstawały też w Lublinie.

II wojna światowa pogorszyła fatalną sytuację mieszkaniową. Nic więc dziwnego, że pierwsze powojenne osiedle Lublina, które powstało przy Al. Racławickich, robiło wrażenie i rozpalało nadzieję na poprawę bytu niejednej rodziny. Tym, którzy wprowadzili się do budynków „ZOR Zachód” codzienność umilały sztukaterie na elewacji i znajdujące się między blokami fontanny. Gdy Lublin wizytowały zagraniczne delegacje, zwiedzanie tego osiedla było jednym z punktów ich pobytu. Jednak działający w całej Polsce Zakład Osiedli Robotniczych nie był w stanie nadążyć za potrzebami.

## GLÓD

Wtedy do gry znów wrócili spółdzielnie. Pierwszą w Lublinie była Lubelska Spółdzielnia Mieszkaniowa, pierwszym jej projektem osiedle Mickiewicza. To właśnie tu znajduje się kultowy plac „z rakieta”, na którym wychowały się pokolenia lublinian – odprysk fascynacji podbojami kosmosu w latach 60. (1958 r. – początek budowy osiedla, 1961 – Jurij Gagarin w statku kosmicznym Wostok odbył lot po orbicie Ziemi). Przestrzenie publiczne, zieleń, zaplanowanie miejsca dla szkół, przedszkola, ośrodka kultury – to właśnie klucz do sukcesu tego miejsca. Jako dru-

gie powstało osiedle Słowackiego, które znajdziemy w niejednej książce o architekturze (o tym, co tak wyjątkowego stworzyli na nim Zofia i Oskar Hansenowie na s. 8).

W Lublinie działała też Robotnicza Spółdzielnia Mieszkaniowa „Motor”, która stawiała swoje bloki na Kalinowszczyźnie, gdzie na swoje upragnione M mogli liczyć m.in. pracownicy Fabryki Samochodów Ciężarowych. W latach 70. dzielnicę chętnie fotografował Edward Hartwig (s. 6-7).

Mieszkaniowy głód to ważny wątek w opowieści o polskiej niepodległości. Dlatego tym razem zapraszamy na spacer po miejscach, które były próbą jego złagodzenia. Czy się udało? Czy sen o taniach, funkcjonalnych mieszkaniach już się w Polsce spełnił? A może to marzenie nie straciło na aktualności? Tak czy inaczej warto prześledzić, jak z tym wyzwaniem mierzyły się kolejne pokolenia lublinian.



Bloki przy ulicy Balladyny na osiedlu im. Juliusza Słowackiego zaprojektowane przez Oskara Hansena. Osiedle było budowane w latach 1964-1972. Fotografię wykonał Edward Hartwig [zbiory Ewy Hartwig-Fijałkowskiej / Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”]





Siedziba Domu Bankowego M. Morajne w Lublinie [kolekcja szklanych negatywów z kamienicy Rynek 4]



Plakat reklamujący kolekturę Morajnego [zbiory Lubelskiego Archiwum Cyfrowego / Archiwum Państwowego w Lublinie]

# LOSZY

We wrześniu 1938 roku w Lublinie wybuchła mała sensacja – jeden z warsztatów stolarskich wygrał w loterii państwowej. W związku ze zbliżającym się ciągnięciem – tak przed wojną nazywano losowanie – pięcioosobowa załoga złożyła się na „ćwiartkę”. I nie chodziło weale o butelkę wódki, tylko o ćwierć losu w kolekturze Morajnego.

Ponieważ jeden z pracowników warsztatu był wychowankiem Ochronki przy Grodzkiej, zaproponował, żeby do wskazania szczęśliwego numeru posłużyć się „sierotką”. Zasugerował pewnego podrutka, pięcioletniego chłopca z Ochronki. I wyobrazić sobie – pisał dziennikarz „Lubliner Sztyme”, ukrywający się pod pseudonimem Der Eigener – numery wytypowane przez podrutka warte były okrągłą sumkę 50 tysięcy gildenów, czyli polskich złotych, jak nazywali je czasem Żydzi. „Ćwiartka”, na skutek jakiegoś skomplikowanego algorytmu, przyniosła szczęśliwcom, po podziale, może mniej powalające, ale wciąż atrakcyjne 8 tysięcy.

Szczęściarz, co? – pytał dziennikarz. – Ale kim jest ów chłopiec? Jak ma na imię? Gdzie są jego rodzice? Może to owoc nielegalnego związku, może po prostu odrzucony przez zdesperowaną i pozbawioną nadziei matkę? Któż to może wiedzieć? Jedno jest pewne: gdyby dojechał, kim są jego rodzice, odszukać matkę i pozwolić jej mówić, poznalibyśmy jeszcze jedną tragedię, nienależącą dziś, niestety, do rzadkości. Tragedię wynikającą z nędzy, desperacji i bezdennych braków materialnych, które prowadzą do tego, że matka zmuszona jest porzucić na środku ulicy najcenniejsze, co tylko posiada – własne dziecko – z karteczką przypiętą do ubranka: „Gute menchn hot rachmunes!” – „Dobrzy ludzie, miejcie litość!”

Szczęściarz z Ochronki, jak wielu jemu podobnych, nie miał imienia. Wołali na niego po prostu Majerek.

Dlaczego Majerek? A dlaczego Herszek, Lejbuś albo Chaimek? Ot, imię i tyle. Jakoś trzeba się nazywać, więc w Ochronce padło na Majerka. Imienia może i nie miał, ale szczęście: owszem! – konstatał dziennikarz. Co się zaś tyczy Morajnego, to w przedwojennym Lublinie był postacią powszechnie znaną, chociaż wiadomo o nim stosunkowo niewiele. Oficjalnie na imię miał Michał, ale tak naprawdę nazywał się chyba Majlech, czyli król, a nieprzychylni przezywali go władcą loteryjnym. Nazwisko też miał pierwszej klasy, bo i do dzisiaj niektórzy używają już nieco zapomnianego związku frazeologicznego szajne morajne albo częściej szajne morejne, który oznacza Żyda z wyższych sfer, jakby wielmożnego pana. Urodził się zapewne jeszcze w XIX wieku, gdzie – trudno powiedzieć. Wiadomo na pewno, że kolekturę – wówczas Królewskiej Węgierskiej Loterii – prowadził w Lublinie już w trakcie pierwszej wojny światowej. W 1928 roku firma M. Morajne zmieniła nazwę na Dom Bankowy M. Morajne i gdzieś po drodze z hotelu „Victoria” przeniosła się do gmachu własnego przy Kapucyńskiej 3. Działająca w jej ramach kolektura nosiła nazwę „Uśmiech Fortuny” i posiadała kilka oddziałów – przy Lubartowskiej 8 w Lublinie oraz w Bydgoszczy i Toruniu.

Na ladach kolektury Morajnego rozłożone były podobno setki losów. „Wystarczy tylko wejść, sięgnąć własną ręką po los według własnego upodobania” – pisał w 1931 roku na łamach „Ziemi Lubelskiej” niejaki Eugeniusz Rafalski. Dodawał przy tym, że jeżeli chce się sprawić prezent bliskiej osobie, lepiej dać jej pieniądze na zakup losu niż sam los. Kilkusetletnia praktyka miała dowodzić, że fortunę przyniesie tylko własnoręczny wybór numerów. Cóż, w przypadku warsztatu stolarskiego system się nie sprawdził, ale chodzi tu najpewniej o to, że moc „sierotki” przewyższała moce „własnoręczne”.

kania były duże, nie takie jak teraz). Kuchnia to była taka, że ona na pół podzieliła i druga część była sypialnią. Zrobiła takie zasłony, które stanowiły jakby przedpokój, przez który przechodziliśmy do naszego pokoju. Pokój był duży, miał 25 metrów i dwa okna wychodzące na ulicę. To był ostatni domek przed torami, a za nimi była fabryka samolotów i lotnisko było.

Teraz to ludzie inaczej mieszkają. (...) Wcześniej wystarczyła szafa, stół, krzesła i coś do spania – łóżka jakieś. Łóżka były posłane z poduszkami, pierzynami i były przykrywane – w zależności co kto lubił. U nas to była narzuta z tiulu i atlasu pod spodem. Chyba miała złoty kolor. Poduszki przykryte były serwetkami z koronki, co je mamusia i jej siostra haftowały. To było całą ozdobą mieszkania.

Sanitariatów w domu nie było. To było na zewnątrz budynku, na podwórzu. Z jednej strony takiego ogródka stał domeczek drewniany, do którego z tyłu gospodyni wkładała wiadro. Gdy nie chciała, aby tam się załatwiano, to zamykała. Czynności fizjologiczne czasem trzeba było załatwiać w mieszkaniu – w wiadro. Przykrywało się je i czekało do nocy, żeby wylać to do rynsztoka.

Irena Sławińska, ur. 1937

Zamieszkaliśmy w dzielnicy Za Cukrownią przy ulicy Piekarskiej w czynszowej kamienicy. Nasza kamienica nie była przed wojną skanalizowana. Wodę przynosiło się z podwórza, ze studni na pompę, a WC – jak na wsi, za stodołą. Było 14 lokatorów w kamienicy. Warunki życia były raczej skromne. Dzielnica Za Cukrownią to była dzielnica robotnicza. Znajdowała się tu cukrownia, krochmalnia i fabryka wag, i zakłady spiry-

Dziennikarz z „Lubliner Sztyme” wybrał się we wrześniu 1938 roku do Ochronki i znalazł bohatera sensacji. Trafił akurat na porę obiadową. Ów szczególnie „osobnik” okazał się małym, szczupłym chłopcem z parą bosych stópek. Siedział, jak wszystkie dzieci, pochłonięty jedzeniem. Zawołano go do mnie – relacjonowałem. – Bacznie mi się przyjrzałem. Miał parę mądrych oczek nieokreślonego koloru. Trochę brązowe, a trochę zielone. Wyglądał na psotnika i prawdziwego łobuziaka. – Jak się nazywasz? – zapytał.

Chłopiec opuścił oczy. Prawdopodobnie zawstydił się przed nieznanym. Zgromadzone dookoła dzieci zaczęły mówić za niego:

– On nie ma imienia. Wołamy na niego Majer.

– Jaki Majer? – dopytywał.

– Drzewo. Majer Drzewo.

– Dlaczego Drzewo?

– Bo powiedział – mówiły dalej w jego imieniu – że przywiązali go do drzewa i tak go znalezione. Ale gdzie, to nie wiadomo. Jedni mówią, że na drodze z Piask, a inni, że gdzieś na Piaskach. Przyniesiono go do Ochronki z ulicy jakiś rok, dwa lata temu. Teraz ma chyba około pięć lat. Proszę pana, on się nie lubi uczyć i nie chce iść do chederu.

– A do szkoły chciałbyś chodzić? – raz jeszcze spróbował zagadnąć małego. – Jestem nauczycielem. Chciałbyś się u mnie uczyć?

– Nie!

Majerka najwyraźniej nie interesowała cała ta historia z odpytywaniem. Nawet to, że wytypował los wart 50 tysięcy – w środku pogawędki obrócił się na pięcie i szybko pobiegł z powrotem do talerza. Do kogo może być podobny? Do mamy, może do taty? – zastanawiał się dziennikarz, ale skończył te rozważania przykrą refleksją: jego ojcem i matką jest ulica. Zimna, obca i beznamietna ulica. Ilu takich wspaniałych i mądrych Majerków marnuje się i przepada zupełnie, ponieważ nie mają zapewnionych właściwych warunków i wychowania, by wyrosnąć na pożytecznych i twórczych ludzi?

Morajne przeżył i próbował po wojnie znówić działalność. Podobno w 1945 roku reklamował się hasłem „Wrócił Morajne, szczęście wróciło do Lublina”. W nowych warunkach nie było już jednak dla niego miejsca.

tusowe. Zamieszkiwali ją ludzie przeciętni, robotnicy, zatrudnieni w wyżej wymienionych zakładach na stałe lub sezonowo. Charakterystycznym miejscem tej dzielnicy był park – ogród wokół drewnianego pałacyku. Mieszkał tu właściciel cukrowni z żoną i córką – Marysią, którą można było czasem zobaczyć, jak alejkami parku jeździła na kucyku.

Halina Sadowska, ur. 1924

Mój dom na Rolnej to był domek jednorodzinny, parterowy, wykonany z bali. Znajdował się w nim pokój z kuchnią, przedpokój, a na zewnątrz niewielki ogród. Około stu metrów od naszego domu znajdował się jeden bardzo mały sklep z artykułami spożywczymi, więcej sklepów nie było. Właściwie ulica nie wyróżniała się niczym szczególnym. Mieszkał tu głównie ludzie mało zamożni. Na ulicy były domy podobne do naszego, wykonane z bali lub ocieplane trocinami. [Potem mieszkałam] na ulicy 1 Maja. Mieszkanie było na parterze w kamienicy i był tam pokój z kuchnią. Na ulicy Zamojskiej mieszkałam w dużym ciemnym pokoju z kuchnią. To było mieszkanie na parterze, w kamienicy, zaniedbane. Warunki tutaj były bardzo złe.

Leokadia Pich, ur. 1918

Mój dom rodzinny znajdował się na ul. Polnej. Był jednorodzinny, drewniany. Miał dwa pokoje z kuchnią, przedpokojem i ogrodem. W pobliżu domu były trzy sklepy: dwa spożywcze, jeden warzywny i kiosk ze słodyczami. Ulica, przy której mieszkałam, nie była brukowana. Było tam dużo błota, zwłaszcza jesienią. Domy przy ulicy były różne: murowane i drewniane,

W lipcu 1947 roku rozporządzeniem Rady Ministrów firma Dom Bankowy Michał Morajne w Lublinie straciła koncesję i została zlikwidowana. Dalsze losy chłopca są nieznane, choć – niestety – łatwe do przewidzenia. Obok jego historii, opisaną w 1938 roku na łamach „Lubliner Sztyme”, znalazło się ogłoszenie: „Wielka wygrana 4 klasy Loterii Państwowej w wysokości 50 tysięcy złotych padła na los numer 20822, zakupiony w znanej ze szczęścia kolekturze Domu Bankowego M. Morajne w Lublinie”.

Piotr Nazaruk

Tekst, który po raz pierwszy ukazał się na blogu Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN” (blog.teatrn.pl) powstał na kanwie reportażu „Kejn nomen hot er niszt, mazl – jo... Dos untergeworlene jingele fun der »Ochrone«, vos hot ojsgeklit dem gliklechn »los« baj Morajnen” autorstwa dziennikarza podpisującego się pseudonimem Der Eigener, „Lubliner Sztyme”, nr 38, 23 września 1938. Ochronka zajmowała kamienicę przy ul. Grodzkiej 11.



Ogłoszenie ze zwycięskimi numerami wytypowanymi przez chłopca z lubelskiej Ochronki („Lubliner Sztyme”, 23 września 1938)

raczej skromne. Mieszkańcy tej ulicy to pracownicy kolei, stolarz, który miał własny zakład meblowy przy ulicy Narutowicza i inni.

Stanisław Wąsiel, ur. 1929

Przy ulicy Narutowicza 19 mieszkałem do wojny i przez pierwsze lata wojny. Nasze mieszkanie składało się z dwóch pokoi z kuchnią. Ten dom, gdzie mieszkałem, znajduje się na rogu ulicy Narutowicza i Peowiaków – naprzeciw teatru: na jednym rogu jest Teatr Osterwy, na drugim – ten dom. Dom prawie się nie zmienił do dzisiaj, zmieniły się tylko sklepy. W domu tym mieszkało wiele rodzin, wielu kolegów, z którymi chodziłem do szkoły powszechnej i potem do gimnazjum Staszica.

Zbigniew Fleszyński, ur. 1921

Pierwsze moje mieszkanie, które pamiętam, było przy ul. Zamojskiej, po stronie nieparzystej. To był elegancki dom z ładną klatką schodową. W tym samym domu mieszkały moje kuzynki Fiszmanówny i Kormanówny. Drugie mieszkanie w Lublinie mieliśmy przy ul. Staszica 9. Było to piękne i wykwinne mieszkanie. Dzisiaj powieźlibyśmy na poziomie burżuazyjnym. Trzecie mieszkanie, bezpośrednio przed II wojną światową, posiadaliśmy przy ul. Żmigród 7. Było to już całkiem blisko naszego sklepu przy Królewskiej. Jak już powiedziałam, nasz dom był zamożny. Mieliśmy służące Polki, do dzieci przychodziły guwernantki, a kucharką była Żydówka – Rachelka.

Zofia Weiser, ur. 1918

Wybrała Wioletta Wejman



## HISTORIA MÓWIONA

W Lublinie mieszkałam na ulicy Szklanej. Tatuś dostał pracę w Fabryce Maszyn Rolniczych i wynajął mieszkanie od dwóch siostr – właścicielek domu jednorodzinnego. Jedna z tych pań miała osobną połowę domu. Miała pokój z kuchnią, więc wynajęła nam pokój, a sama mieszkała w kuchni (przed wojną miesz-



# „KLINKIER POLSKI”. WIELKA IDEA BUDOWY DRÓG

Wyjeżdżając z Lublina dwupasmówką na Lubartów, zmuszeni czerwonym światłem do postoju na skrzyżowaniu alei Spółdzielczości Pracy i ulicy Związkowej, dostrzeżemy na rogu, po lewej stronie, zgrabny ceglany budynek. Uwagę zwraca wypalona połać jego dwuspadowego dachu. Do pożaru budynku, zajmowanego przez lokatorów komunalnych, doszło kilka lat temu. Od tego czasu, ozdobiony ceglanymi fryzami i owalnym świetlikiem nad głównym wejściem, budynek stoi opuszczony. Zwraca uwagę nietypowym kolorem i doskonałą jakością cegły, z jakiej wymurowano jego jednokondygnacyjny korpus. Odcinkowe obramienia okienne, z zaakcentowanym dekoracyjnym kluczem, zdradzają czas jego budowy jako początek XX w.

Po odzyskaniu niepodległości stan dróg na Lubelszczyźnie można było określić jedynie mianem – tragiczny. Miejscowości położone na wschodzie regionu jesienią i wiosną były odcięte od świata. Dla przykładu, w powiecie hrubieszowskim na 1000 km dróg publicznych tylko 27 km było bitych. Jako przyczynę tego stanu podawano brak kamienia w południowej części województwa oraz niechęć rosyjskiego zaborcy do utwardzania dróg na pograniczu z Austrią. W samym Lublinie, w 1927 r., zapotrzebowanie na brukowanie określano na 4 km dróg rocznie. Koszty granitu z Kesowa, czy bazaltu z Berezowca na Wołyniu były bardzo wysokie z uwagi na transport. Jednak inżynier Kazimierz Danowski, zajmujący się problemem w porozumieniu z dyrektorem robót publicznych w Lublinie, pisał „Za biedni jesteśmy, abyśmy mogli budować drogi kosztowne (betonowe, asfaltowe, itd.), ale zbudujemy jeszcze bardziej nie budując żadnych”.

Jeszcze długo przed odzyskaniem niepodległości pojawił się pomysł brukowania dróg i ulic materiałem tańszym, ale o znacznych walorach użytkowych – klinkierem. Drogi wykładane cegłą klinkierową były równe, znacznie cichsze w eksploatacji, odporne na podkute końskie kopyta i bardziej „hygieniczne”, bo łatwiejsze do utrzymania w czystości. Na Lubelszczyznę pomysł ten przywiózł z podróży do Holandii i Niemiec inżynier Florian Siennicki. Za jego sprawą, w 1884 r., wybudowano pierwszą klinkierną rządową w Zamościu. Rok później zarząd nad wytwórną przejął inżynier Józef Zborowski, który dokończył budowę, nadzorował instalację maszyn, a w 1905 r. zmodernizował piece gazowe, montując w nich generatory. Kolejne klinkierne Ministerstwa Komunikacji, powstające pod nadzorem przeszkolonego w Ameryce Zborowskiego, powstawały kolejno w Izbicy (1903 r.), Białopolu (1909 r.) i Budach (1913 r.).

W 1900 r. na Krakowskim Przedmieściu, od kościoła Świętego Ducha do Magistratu i na ulicy Radziwiłłowskiej, za pałacem gubernatora, Zborowski położył „na próbę”, przywiezioną z Zamościa, zendrówkę, czyli cegłę mocno wypaloną. W 1901 r. zamójki klinkier Zborowskiego otrzymał na Wystawie Rolniczo-Przemysłowej w Lublinie brązowy medal.

## FOTOMONTAŻ DLA LEPSZEGO EFEKTU

Krakowskie Przedmieście na skrzyżowaniu z Chopina. Chopina jest jedną z najmłodszych ulic w ścisłym centrum Lublina i jedną z ostatnich, utworzonych w bezpośrednim sąsiedztwie Krakowskiego Przedmieścia. Po raz pierwszy pojawiła się na mapach miasta z 1912 roku, lecz swoją nazwę otrzymała dla upamiętnienia 100. rocznicy urodzin Fryderyka Chopina, która przypadła w 1910 roku. Odcinek ulicy od Krakowskiego Przedmieścia do Okopowej został częściowo zabudowany jeszcze przed I wojną światową, kiedy powstały okazałe, kilkupiętrowe, typowo wielkomiejskie kamienice po prawej, nieparzystej stronie ulicy.

Na zdjęciu widzimy narożną kamienicę u zbiegu ulicy Chopina i Krakowskiego Przedmieścia. Wybudowana w latach 1908-1910, na miejscu wcześniejszej, znacznie niższej zabudowy, uzyskała bogaty, eklektyczny wystrój fasady. W latach 30. XX wieku budynek stał się własnością Apolonii Kosickiej, która w 1935 roku przeprowadziła remont elewacji według projektu Jerzego Chylewskiego. Podczas remontu usunięto pierwotny wystrój fasady – przebudowano ją w duchu modernizmu z elementami funkcjonalizmu. Kolejną zmianą było przekształcenie parterów na sklepy w latach 50. XX w. W takim kształcie kamienica przetrwała do dziś.

W budynku, podobnie jak w innych kamienicach przy tej ulicy, pierwotnie znajdowały się obszerne, wielopokojowe mieszkania z wydzielonymi sanitariatami i kuchnią. Po II wojnie światowej, zgodnie z duchem epoki, mieszkania zostały podzielone na mniejsze.

W 2007 roku przeprowadzono kolejny remont elewacji, połączony z wymianą stolarki okiennej i wykonaniem iluminacji. Wprowadzenie dodatkowego oświetlenia fasady sprawiło, że obecnie kamienica jest jednym z najefektniej prezentujących się budynków przy Krakowskim Przedmieściu, szczególnie po zapadnięciu zmroku.

Prezentowana pocztówka została opublikowana w okresie I wojny światowej, po wdrożeniu w 1915 roku do Lublina wojsk niemieckich i austro-węgierskich. Świadczy o tym specyficzny zapis nazwy patrona ulicy. Ten sposób zapisu nazwiska wielkiego kompozytora pojawia się również na pocztówkach z innych miast, znajdujących się w tym czasie pod okupacją niemiecką. Dodatkowym elementem jest samochód, zapewne doklejonny do pierwotnej fotografii. Ten sposób poprawienia wyglądu zdjęcia był typowy dla pocztówek z pierwszej i drugiej dekady XX wieku.

Marcin Fedorowicz



Pocztówka z okresu I wojny światowej. Kolekcja Zbigniewa Lemiecha.

Szerokie perspektywy, otwierające się przed wytwórniami klinkieru, spowodowały, że w 1906 r. Zborowski, wchodząc w spółkę z Janem i Witoldem Kleniewskimi, założył pierwszą prywatną klinkiernię w Lublinie. Powstała na gruntach świetnie prosperującego majątku Kleniewskich – Lemszczyzna. Jego północna granica przebiegała na linii dzisiejszej ulicy Do Dysa. Kleniewscy mieli tam pola uprawne, wozocową, nagradzaną plantację róż i drzewek owocowych, suszarnię chmielu, palarnię siodła (przy ul. Bonifratskiej dziś Biernackiego)

i browar. W okolicach dzisiejszej ulicy Chodźki posiadali znaną cegielnię Lemszczyzna. Klinkiernia znalazła lokalizację przy Trakcie Lubartowskim, za rogatką miejską. Zakład mieszczący się pomiędzy dzisiejszymi ulicami: aleją Spółdzielczości Pracy, Związkową, Bursaki oraz Techniczną, nanoszono na plany miasta jeszcze w latach 30. XX w. Ten niezabudowany teren został wybrany zapewne z uwagi na zagrożenie pożarowe. Klinkier wymagał znacznie wyższej temperatury wypалу niż zwykła cegła, dzięki czemu miał podwyższoną odporność na oddziaływanie warunków atmosferycznych i zgniatanie. Przystosowany do wytrzymywania nacisku 700-1200 kg na 1 cm kw., wytwarzany był z gliny o większej zawartości wapna, która musi być dobrze wyrobiona i wypalany w temperaturze dochodzącej do 2000 stopni Celsjusza. Do wypalu używano pieców gazowych, dających równomierne ogrzewanie całego wsadu.

Jak pisze sam Zborowski we wstępie broszury promującej używanie klinkieru, łatwo odróżnić go od zwykłej cegły, po „pięknym, metalicznym dźwięku”, jaki wydaje przy uderzeniu. Aby udowodnić jego niezrównane walory użytkowe, Zborowski „na własne ryzyko”, w 1907 r. wybrukował Krakowskie Przedmieście przed hotelem „Victoria” i znajdującym się vis-a-vis Hotelem Europejskim. Wykazał tym samym, że nawet w miejscu postoju dorożek można uniknąć przykrych końskiej woni, zalewając szpary pomiędzy cegłami smołą. Dobrze zdał egzamin ten rodzaj bruku także na ulicy Bernardyńskiej, w okolicach Szkoły Handlowej Vetterów.

Klinkiernia Zborowskiego produkowała także cegłę szamotową, tj. ogniotrwałą

i zapewne zendrówkę, z której wzniesiono, wspomniany na początku, budynek administracyjny klinkierni, który obecnie nosi adres al. Spółdzielczości Pracy 42. Jest on dziś jedyną pozostałością po pierwszej w kraju prywatnej wytwórni klinkieru oraz jej imponującym fachowością i kreatywnością założyciela.

Ten świetnie rozwijający się biznes gwałtownie ucieło zaginięcie Zborowskiego w 1915 r. w Rosji, gdzie udał się w celu windykacji długów klinkierni rządowych.

Jednak państwowe klinkierne, zakładane przez niego, stały się po odzyskaniu niepodległości głównymi producentami nawierzchni drogowych w regionie. W latach 20. XX w. łącznie produkowały 4 500 000 cegieł rocznie. Jednak planowano wybrukować nimi 50 proc. dróg publicznych, toteż roczne zapotrzebowanie szacowano na 15 700 000 sztuk. Wspomniany już inż. Danowski postulował wręcz powołanie spółki publiczno-prywatnej „Polski Klinkier”.

Akcja klinkierowania dróg trwała do wybuchu II wojny światowej. Dzisiaj bruki z cegły klinkierowej można spotkać jeszcze na drogach południowej Lubelszczyzny, w okolicach Zamościa, Hrubieszowa, czy Tomaszowa. Także pod asfaltem wielu lubelskich ulic spoczywa wciąż ułożony w jodełkę klinkier. Jeśli gdzieś spotkają Państwo porzuconą, niewielką cegłę, o charakterystycznym ciemnym zabarwieniu i odcięniętym z jednej strony napisem „Zborowski”, a z drugiej „Lublin”, to przygarnijcie ją jako pamiątkę po wielkiej idei budowy dróg na Lubelszczyźnie.

Małgorzata Michalska-Nakonieczna

Po lewej: przebudowa ulicy Pierackiego (dziś Żołnierzy Niepodległej), na pierwszym planie widoczna nawierzchnia wykonana z klinkieru, 1939/1940 rok, fotograf nieznanymi [Archiwum Urzędu Miasta Lublin / Archiwum Państwowe w Lublinie]







Zdjęcia ze zbiorów rodzinnych Tadeusza Tuora.

W pierwszych numerach czasopisma **PA.RA** zaapelowaliśmy do Czytelników, by otworzyli swoje rodzinne archiwa i podzielili się z nami swoimi historiami. Jedną z takich opowieści przesłał nam lublinianin Marcin Tuora.



Czerwona rama szosowa z chromowanymi końcówkami w rozmiarze 53 czekała na złożenie ponad dwa lata. Miała prawo stać się w międzyczasie za mała. Na siódmymc odmalowanej przez pana Krzysia Kocota mój przyszyły rower powstał mniej więcej po roku.

Druga połowa lat 70. poprzedniego stulecia. Sekcja kolarska i pierwsze kilometry przejechane na prawdziwym rowerze. Pierwsze buty z blokami i pedały z noskami oraz pierwsze przykre skutki zapomnienia o tym, że stójkę nie tak łatwo opanować. Pierwszy prawdziwy bidon otrzymany od pana Jurka, przywieziony z wyścigu w Anglii, w którym startował, spodenki

z wkładką z irchy, najlepsze wówczas siedło wyścigowe Brooks i klubowa koszulka. Do tego wszystkiego nazwisko związane z kolarstwem i bagaż sukcesów ojca – Tadeusza Tuora. Predyspozycje na zawodnika w czasach, gdy rower kupowało się po znajomości albo po przestaniu w kolejce przynajmniej jednej doby.

Ojciec ścigał się przed drugą wojną światową i w latach powojennych. Mistrzostwo województwa lubelskiego rok 1936/1937 w wyścigu na 100 km, mistrzostwo klubu rok 1936/1937 Lublin – Piaski – Lublin 50 km w czasie 1 godz. 36 min, po wojnie Tour de Pologne w 1948 i 1949 roku, uliczny bieg kolarski na odbudowę

Warszawy w 1949 roku. Podobnych dyplomów pozostało więcej. Dla mnie jednym z ciekawszych jest ten z 8 czerwca 1939 roku, miejsce dopiero ósme, ale za to trasa 210 km w czasie 8 godz. 27,5 min. Trzeba było mieć zapal. Ojciec wspominał kiedyś, jak wraz z panem Krzysiem wyjechali rowerami do Lwowa, wtedy w granicach Polski, żeby zobaczyć metę wyścigu Kraków – Lwów. Ruszyli w nocy. Obejrzeli końcówkę wyścigu, wsiedli na rowery i wrócili do Lublina. Łącznie mniej więcej 500 km po drogach brukowanych i poboczach, które często były lepsze od samych dróg.

Tadeusz Tuora znany był jako zawodnik, mechanik, trener, sędzia i zapalony działacz. Po wojnie siedzibą Lubelskiego Towarzystwa Kolarskiego był warsztat ojca przy ul. Cyruliczej 3. Ojciec był jednym z inicjatorów i założycieli towarzystwa.

Pierwsze mistrzostwa Polski, które zapamiętałem. Najpierw przez prawie trzy lata, co niedzielę oglądałem w sezonie letnim wyścig albo oficjalny trening. W zimie dość często przełaje. Poza tym zwykła codzienność oprócz tych dni, kiedy ojciec wyjeżdżał gdzieś w Polskę i wracał potem do domu z walizkami pełnymi różnych części, które zdobywał w sobie tylko znany sposób.

Mistrzostwa nie zaczęły się zbyt pomyślnie. Przed startem rozdawano worki żywnościowe dla zawodników i działaczy pełne smakowitości. Nie byłem samolubem i pewną ilość takich worków schowałem z myślą o kolegach z podwórka. Ta pewna ilość okazała się jednak zbyt duża. Powstało zamieszanie, gdy zabrakło dla sędziów i honorowych gości. Ojciec, będący organizatorem, szybko odkrył mój niezbyt wymyślny schowek pod siedzeniem w samochodzie. Musiał być wtedy bardzo zły, bo szybko uciekłem do mamy, która zawsze towarzyszyła ojcu w organizowanych na Lubelszczyźnie wyścigach. Nożyce do przecięcia wstęgi honorowego startu Mistrzostw Polski w Kolarstwie Szosowym podawała na błyszczącej tacy moja starsza siostra Iwona.

Wyścig wyjechał na trasę poza Lublin, aby po kilku godzinach, których nie pamiętam z powodu emocji, zmęczenia i prażącego słońca, powrócić na ulice miasta pędząc w stronę Poczty Głównej, gdzie usytuowana była meta z podium ustawionym na środku placu. Tłum zgromadzonych wzdłuż ulic kibicował kolarzom, dopingował oklaskami i okrzykami.

Meta głęboko zapadła mi w pamięć. Przed przyjazdem ostatnich kolarzy i samochodu z napisem „Koniec wyścigu” znane są już wyniki czołówki. Zawodnicy stają przed trybuną honorową. Odgrywam jedną z najważniejszych ról, do której byłem sumiennie szykowany, jeżdżąc z ojcem wszędzie. Wśród wrzawy napierającego na barierki zabezpieczające tłum kibiców wręczam najlepszym kolarzom Polski bukiety goździków. Jest rok 1965 i mam skończone trzy lata. Jeszcze nie wiem nawet, czy chcę być kolarzem, w sumie dostają takie dobre rzeczy w tych workach, a może jednak nie chcę, bo trochę mi się nudzi jeździć klubową nyską.

W późniejszych latach, po kraksie na treningu, nie dostaję z klubu części potrzebnych do naprawy roweru, ponieważ mój jaguar jest prywatny. Ojciec stanowczo nakazuje mi zdanie klubowego sprzętu. Odnoszę spodenki, buty, koszulkę, dresy i siodełko firmy Brooks. Według ojca kolarstwo się kończy i nie będę jeździł w takim dziadowskim klubie. Aspiracje rodziców w stosunku do dzieci niekoniecznie muszą się spełniać. Kolarzem nie zostałem.

Ostatnio, w czasie rozmowy z Piotrem Kańczugowskim z Lubelskiego Towarzystwa Retro Cyklistów, narodził się pomysł, aby ścieżkom rowerowym nadawać imiona dawnych kolarzy. W każdym mieście znajdują się ludzie, dla których kolarstwo było wielką pasją godną prawdziwego podziwu.

Marcin Tuora







Budynki osiedla Oficerskiej Spółdzielni Mieszkaniowej przy ulicy Weteranów, 1938 rok, fot. Elżbieta Izlebska-Margul [zbiory Joanny Wojciechowskiej]

# OSIEDLA LUBLINA

W okresie międzywojennym, szczególnie w okresie od 1921 do 1931 roku, nastąpił gwałtowny wzrost liczby mieszkańców Lublina. Populacja wzrosła o ponad 17 tys. osób, czyli o 19 proc. Do Lublina przyciągała praca, a poza tym do miasta włączone zostały okolice wsie.

## OSIEDLA PRZEDWOJENNE

Walkę z fatalnymi warunkami mieszkaniowymi w dwudziestolecu międzywojennym miały ułatwić m.in. nowe przepisy, uchwalane w latach 1918-1926, które stały się podstawą do kształtowania przestrzeni i budownictwa mieszkaniowego.

W 1919 r. powstał Państwowy Fundusz Mieszkaniowy, przyznający pożyczki na cele mieszkaniowe. Walka z mieszkaniowym głodem prowadzona była nie tylko w skali ogólnopolskiej, ale też lokalnie, w poszczególnych miastach. W Lublinie, w 1928 roku, powołano Komitet Rozbudowy Miasta, a także Komisję Techniczno-Budowlaną. Plan Wielkiego Lublina z 1931 roku zawierał konkretne wytyczne, dotyczące kształtowania zabudowy mieszkaniowej.

Prowadzone w Lublinie w latach 1926-1930 nowe inwestycje mieszkaniowe dotyczyły przede wszystkim budynków spółdzielczych, realizowanych w centrum miasta przez Spółdzielce Stowarzyszenie Budowlano-Mieszkaniowe Urzędników Państwowych (ul. Narutowicza 71, Szopena 8 i Solna 5).

Najintensywniejszy rozwój budownictwa mieszkaniowego w Lublinie miał miejsce na kilka lat przed wybuchem II wojny światowej. W tym czasie powstały nowe dzielnice: Czechów, Dziesiąta, dzielnica Zachodnia. Na terenie tej pierwszej zbudowano dwie kolonie domów: Czechów Górny i Dolny. Tam zlokalizowano osiedle Towarzystwa Osiedli Robotniczych (T.O.R.), a także kolonię mieszkaniową Spółdzielni Podoficerów, Legionistów i Pocztców.

Najpełniej zrealizowanym zamierzeniem urbanistycznym w Lublinie okresu międzywojennego była dzielnica Dziesiąta, z dwoma koloniami mieszkalnymi,

których wspólną osią stała się ulica wytyczona na przedłużeniu ulicy Bychawskiej, czyli dzisiejsza Kunickiego. Teren został zaprojektowany zgodnie z realizowaną ówczesnie w Europie urbanistyczną ideą miasta-ogrodu.

**Sytuacja mieszkaniowa międzywojennego Lublina była zła. Według spisu ludności z 1921 roku w mieście było 3569 budynków mieszkalnych, w których znajdowało się 38 870 izb mieszkalnych. 74 proc. mieszkań było przeludnionych, z czego 48 proc. nadmiernie. Aż 47 proc. mieszkań stanowiły mieszkania jednoizbowe, 11 proc. mieszkań mieściło się w suterrenach, a przeciętna liczba osób, przypadających na izbę, wynosiła 2,4 osoby. Standard wyposażenia mieszkań w urządzenia techniczno-sanitarne kształtował się bardzo niekorzystnie: tylko 5 proc. domów posiadało kanalizację, 23 proc. wodociąg, 8 proc. oświetlenie elektryczne.**

Dzielnica Zachodnia rozwijała się od 1918 roku wzdłuż Alei Raclawickich, przy czym pierwsze projekty budynków mieszkalnych powstawały po 1925 roku. Miała mieć charakter cywilno-wojskowy. W jej skład oprócz gmachów użytkowanych przez wojsko wchodziły budynki użyteczności publicznej – Bobolanum, Gimnazjum im. Staszica, Okręgowy Urząd Ziemski, Uniwersytet Lubelski, cerkiew przekształcona na kościół rzymskokatolicki. Jednym z osiedli wchodzących w skład dzielnicy Zachodniej była Oficerska Spółdzielnia Mieszkaniowa. Dzielnica Zachodnia miała z czasem przejąć funkcję śródmieścia.

Ciekawymi założeniami mieszkalnymi były także kolonie: urzędnicze przy ulicach Spokojnej i Wieniawskiej oraz zespół mieszkaniowy Polskich Kolei Państwowych przy ulicy Nowy Świat.

### Kolonia T.O.R.

W czerwcu 1935 roku Rada Miejska podjęła uchwałę o przekazaniu pod budownictwo jednorodzinne terenów na Czechowie Górnym. Na rozparcelowanym,

w myśl doświadczeń przeniesionych z Warszawy, terenie miały powstać osiedla Towarzystwa Osiedli Robotniczych (T.O.R.), Spółdzielni Legionowej oraz Spółdzielni Podoficerów, Legionistów i Pocztców. Inwestycja miała być finansowana z funduszy Banku Gospodarstwa Krajowego i Funduszu Pracy. W latach 1935-1936 została zaplanowana budowa 18 domków Spółdzielni Podoficerów, dziesięć Spółdzielni Legionowej oraz 35 domków dla Związku Legionistów. Budynki T.O.R. powstały w latach 1937-1938 na terenie osady Czechów Górny (to dzisiejsze ulice: Arnsztańskiej, Dudzińskiego, Partyzantów, Czaplńskiego).

Osiedle było odpowiedzią na ówczesne problemy mieszkaniowe będąc realizacją idei mieszkania minimum. Na niewielkich działkach powstały powtarzalne jednorodzinne budynki bliźniacze. Projekt, oparty na wzorcach skandynawskich, charakteryzujących się minimalizmem formy, został prawdopodobnie przygotowany przez Romana Piotrowskiego w Pracowni Architektonicznej T.O.R. Budynki były parterowe, murowane z cegły, częściowo podpiwniczone, posiadały drewniane poddasza, wykonane w formie szczytowej nadbudówki nad zewnętrzną częścią domu. Wnętrze rozplanowano za pomocą trzech pokoi z kuchnią, łazienki, sieni oraz magazynku. Mankamentem domów i całego osiedla był brak uzbrojenia. W latach 1935-1939 większość przygotowanych działek została zabudowana, w tym 19 jednakowymi domkami osiedla T.O.R. Do dziś zachował się jeden budynek bliźniaczy w niezmiennionej formie. Istnieje też osiem pojedynczych budynków, ale większość z nich jest przekształcona na skutek przebudów i nadbudów.

### Wieniawska, Spokojna

Po 1918 roku w Polsce zaczęły powstawać kolonie mieszkaniowe, budowane przez państwowych inwestorów, przeznaczone dla tworzącej się administracji. Budowano je na terenach Skarbu Państwa, najczęściej z funduszy Ministerstwa Robót Publicznych. W Lublinie pierwszy taki budynek powstał już w 1914 roku przy ulicy Wieniawskiej 3. Kolejne były budowane od 1921 roku. Największa kolonia mieszkaniowa urzędniczych domków została oddana do użytku w 1923 roku. Znajdowała się pomiędzy ulicami Wieniawską, Szkolną (dziś de

Tramcourta) i Spokojną. Okręgowa Dyrekcja Robót Publicznych postawiła na tym terenie parterowe domy o konstrukcji drewnianej, z użytkowymi poddaszami. Kolejne wybudował Urząd Wojewódzki i Skarb Państwa wzdłuż Wieniawskiej i Lubomelskiej. Powstały też lokale dla urzędników skarbowych – domy murowane przy ulicy Spokojnej. Przekazano je do użytku w 1923 roku. Większość budynków, wchodzących w skład kolonii, dziś nie istnieje. Zostały zburzone pod biurowiec przy ul. Spokojnej.

### Oficerska Spółdzielnia Mieszkaniowa

Od 1918 roku w zachodniej części Lublina, wzdłuż Alei Raclawickich, obok wojskowego Obozu Zachodniego rozwijała się tzw. dzielnica Zachodnia. Po przeznaczeniu do parcelacji przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych terenów znajdujących się przy alei Zgody (dzisiejszej ulicy Radziszewskiego) oraz wzdłuż Alei Raclawickich powstało osiedle Oficerskie. Pierwsze budynki zbudowano w 1925 roku. Obszar rozwijał się stopniowo, czego przykładem jest wytyczenie dopiero w 1935 roku ulic Czwartaków, Wysockiego i Langiewicza. Druga część osiedla znajdowała się po przeciwnej stronie Alei Raclawickich i obejmowała ulice Norwida, Rayskiego, Junoszy, Lisa-Kuli (dziś Dubois). Obie części osiedla łączyły ulice Poniatowskiego i Głowackiego. Finansowanie inwestycji mieszkaniowych zapewniał Fundusz Kwaterunku Wojskowego, działający od 1927 roku. FKW określał też wytyczne dotyczące liczby kondygnacji, normy powierzchni pomieszczeń i typu materiałów użytych do budowy. Budynki musiały być zelektryfikowane, skanalizowane i zaopatrzone w wodociąg. Obowiązujące zasady pozwalały na tanią i szybką realizację.

Pierwsze obiekty osiedla Oficerskiego to cztery domy w stylu dworowym przy ulicach Uniwersyteckiej i Grotgiera (do dziś istnieje tylko jeden z nich), bloki mieszkalne dla oficerów i podoficerów pomiędzy aleją Zgody (dziś Radziszewskiego) a ulicami Uniwersytecką, Skłodowskiej i Grotgiera oraz budynki przy ulicy Łopacińskiego. Architektami, pracującymi na potrzeby osiedla, byli m.in. Tadeusz Witkowski, Henryk Paprocki, Karol Bekker, a także Karol Heczko, Kazimierz Tołkaczko. Wzorem dla budownictwa w Lublinie był warszawski Żoliborz Oficerski.

Oficerska Spółdzielnia Mieszkaniowa, wchodząca w skład osiedla Oficerskiego, została założona w 1924 roku, ale formalnie Zarząd Miasta przydzielił tereny z przeznaczeniem dla spółdzielni dopiero w 1935 roku. Przy ulicach Weteranów, Poniatowskiego i Lisa-Kuli przygotowano działki budowlane na potrzeby kolonii oficerskiej o reprezentacyjnym charakterze z urządzeniem dla oficerów garnizonu i urzędników państwowych. Domy OSM zostały zaprojektowane przez trzech architektów: Stanisława Piotrowskiego, Bohdana Kelles-Krauze oraz Tadeusza Witkowskiego. W zamierzeniu miały być do siebie podobne. Do dyspozycji właściciela pozostawała jedynie elewacja od strony ogrodu. Na początek wybudowano trzynaście domów jednopiętrowych – trzy przy ulicy Weteranów i dziesięć przy ulicy Poniatowskiego, następnie kolejnych osiem domów przy ulicy Weteranów. Wszystkie miały mieć po dwa mieszkania, w dwóch typach: pięcioletni i czterolubowy.

Na szczególną uwagę zasługują domy, znajdujące się przy ulicy Weteranów pod numerami 2-16. To osiem bliźniaczych budynków dwukondygnacyjnych z podpiwniczeniem i strychem – modernistyczne, choć w kilku przypadkach przebudowy i modernizacje zatęrzyły ich pierwotny wygląd. Cechuje je prosta forma, podporządkowana układowi funkcjonalnemu. Główne akcenty to wejścia do budynków, prostokątne duże okna oraz elewacje z poziomymi pasami międzyokieniami. Budynki mają balkony w narożach oraz klatki schodowe zaznaczone w bryle większą wysokością oraz lekkim wysunięciem. Wnętra charakteryzowało funkcjonalne rozplanowanie: z przedpokoju prowadziło wejście do kuchni, łazienki, sypialni i salonu, z którego wchodziło się do gabinetu. Istniała też możliwość powiększenia salonu za pomocą przesuwanych bądź łamanych drzwi. Mieszkania były wyposażone w służbówkę z oddzielnym wejściem. W pokojach położony był parkiet, w kuchni lastriko, a w łazience terakota.

## OSIEDLA POWOJENNE

Po II wojnie światowej nastąpił bardzo gwałtowny wzrost liczby mieszkańców Lublina. W latach 1955-1965 ze 130 tys. do 204 tys., czyli o 56 proc. Było to spowodowane przede wszystkim budową nowych zakładów przemysłowych i realizacją planu 6-letniego. Konsekwencją tej sytuacji była konieczność inwestycji mieszkaniowych.

W związku z tym w latach 50. XX wieku rozpoczęto budowę pierwszych osiedli mieszkaniowych przez Zakład Osiedli Robotniczych (ZOR). W kolejnych latach i dekadach doszło przede wszystkim do zmiany technologii. Na szeroką skalę wprowadzono systemy budownictwa prefabrykowanego zwanego wielką płytą OWT, co pozwalało na szybkie wznoszenie wielokondygnacyjnych budynków wielorodzinnych. Intensywny rozwój budownictwa spółdzielczego przyczynił się do przyrostu izb mieszkalnych: w 1956 roku przypadało 2,4 osoby na izbę, w 1965 – 1,8 osoby na izbę. Powojenne budownictwo to przede wszystkim budownictwo spółdzielcze. Pierwszą spółdzielnią mieszkaniową była LSM powstała w 1957 roku. Kolejnymi: Pracownicza Spółdzielnia „Kolejarz” (1958 r.), Robotnicza Spółdzielnia Mieszkaniowa „Motor” (1960 rok), Spółdzielnia Mieszkaniowa „Czechów” (1974 r.), Spółdzielnia Mieszkaniowa „Czuby” (1978 rok).



Budynki osiedla T.O.R., fotografia z albumu „Roboty publiczne prowadzone przez ZM m. Lublin a finansowane przez Fundusz Pracy 1937/38”, 1938 rok, autor nieznan [zbiory Jolanty Jurkiewicz]



Budynek kolonii urzędniczej przy ulicy Wieniawskiej, 2010 rok, fot. Natalia Przesmycka [zbiory autorki]









# KALINOWSZCZYŻNA

Dzielnicę mieszkaniową na terenie Kalinowszczyzny formują cztery osiedla Robotniczej Spółdzielni Mieszkaniowej „Motor” budowane od 1969 roku. Ich układ wynika z koncepcji urbanistycznej, której generalnym założeniem była bezkolizyjność ruchu kołowego i pieszego. Układ głównych ulic opiera się na dwóch krzyżujących się ulicach: Lwowskiej (dawniej Bieruta) oraz Andersa (dawniej Lenina), a także ciągu pieszego przebiegającego w wąwozie. Przy skrzyżowaniu głównych dróg zostało zaprojektowane centrum dzielnicy. Autorami projektu są architekci: Jerzy Androsiuk, Stanisław Fijałkowski, Janusz Makowiecki, Rita i Stanisław Nowakowscy.

Fotografie publikowane na stronie wykonał Edward Hartwig  
[zbiory Ewy Hartwig-Fijałkowskiej / Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”]







Przedszkole na osiedlu im. Juliusza Słowackiego, lata 70. XX wieku, fot. Edward Hartwig [zbiory Ewy Hartwig-Fijałkowskiej / Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”]



Budynki osiedla ZOR „Podzamecze” przy placu Zebrań Ludowych (dziś plac Zamkowy), pocz. lat 60. XX wieku, fot. Edward Hartwig [zbiory Ewy Hartwig-Fijałkowskiej / Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”]

## OSIEDLA LUBLINA DOKOŃCZENIE

### ZOR

Zakład Osiedli Robotniczych powstał w 1948 roku, w latach 40. i 50. XX wieku był jedyną instytucją zarządzającą budownictwem wielorodzinnym w PRL. W Lublinie ZOR zrealizował cztery zespoły: „Zachód” przy Al. Raclawickich (1949 r.), „Tatary A” przy ul. Melgiewskiej (od 1950 r.), „Bronowice I” i „Bronowice II” przy Drodze Męczenników Majdanka (1954-56) oraz „Podzamecze” (1954 r.).

ZOR „Zachód” to pierwsze wybudowane po wojnie w Lublinie osiedle mieszkaniowe. Jest położone przy Al. Raclawickich, pomiędzy ulicami Puławską i Legionową. Projektantem osiedla był Krystyn Olszewski.

Jako pierwsze powojenne osiedle robotnicze powstało ZOR „Tatary”. Brak mieszkań spowodował, że władze miasta zgodziły się, by ulokować je w miejscu, które ze względu na sąsiedztwo zakładów przemysłowych pierwotnie nie było przewidziane pod taką zabudowę. Najstarszą część osiedla – „A” – projektowali Helena i Szymon Syrkusowie. Budynki wzniesione w technologii tradycyjnej, charakteryzowały się dużą powierzchnią użytkową i starannością wykonania.

Zakład Osiedli Robotniczych odpowiadał nie tylko za realizację wielorodzinnego budownictwa mieszkaniowego, ale także za odbudowę po zniszczeniach II wojny światowej zabytkowych dzielnic staromiejskich. W Lublinie – za budowę osiedla ZOR „Podzamecze”, przy dzisiejszym placu Zamkowym, wcześniej placu Zebrań Ludowych. Decyzję o inwestycji podjęła w styczniu 1954 roku Rada Ministrów podczas posiedzenia, na którym zdecydowano o zorganizowaniu w Lublinie obchodów 10-lecia PRL. Plac przekazano do użytku 1 maja 1954 roku, natomiast część kamienic ZOR „Podzamecze” – 21 lipca.

### LSM

Lubelska Spółdzielnia Mieszkaniowa została powołana do życia w 1957 roku. Zbudowała siedem osiedli: Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego, Zygmunta Krasińskiego, Piastowskie, Henryka Sienkiewicza, Bolesława Prusa oraz Marii Konopnickiej. Jej utworzenie możliwe było dzięki ustawie z 15 marca 1957 roku, która dawała podstawy rozwoju spółdzielni mieszkaniowych w Polsce. Środki państwowe miały być zasilone wkładem własnym obywateli i ich pracą społeczną. Władze Lublina przekazały LSM tereny leżące na zachód od głównej osi komunikacyjnej miasta, w sąsiedztwie miasteczka uniwersyteckiego.

W czerwcu 1958 roku Społeczne Przedsiębiorstwo Budowlane przystąpiło do budowy pierwszego budynku. Zarząd LSM zdecydował, że osiedle będzie nosiło imię Mickiewicza. W 1959 roku do pierwszych siedmiu budynków wprowadziło się 150 członków. Nowa dzielnica oddalona była znacznie od śródmieścia. Początkowo nie było sklepów, szkoły, placówki zdrowia itp. Infrastruktura osiedla powstawała stopniowo: pawilon usługowy, w których Lubelska Spółdzielnia Spożywców założyła sieć sklepów, wybudowano przychodnię, szkołę i przedszkole. Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne uruchomiło na LSM linię autobusową. Jednocześnie na bieżąco porządkowano i zazieleniano dzielnicę. Wiele prac wykonywali mieszkańcy w ramach czynności społecznych.

W 1964 roku LSM rozpoczęła budowę drugiego osiedla – im. Juliusza Słowackiego (pierwszy budynek został oddany w lipcu 1965 roku). Kolejne osiedle – Piastowskie – powstało z okazji 1000-lecia Państwa Polskiego. W 1971 roku do bloków na osiedlu im. Zygmunta Krasińskiego wprowadzili się pierwsi mieszkańcy, z kolei w 1973 roku został oddany do użytku pierwszy blok na osiedlu im. Henryka Sienkiewicza. Pierwszy budynek na osiedlu im. Marii Konopnickiej – w maju 1974 roku. Najmłodsze osiedle LSM to osiedle im. Bolesława Prusa – pierwsze budynki zostały oddane do użytku w listopadzie 1975 r.

Dziś LSM obejmuje obszar 242 ha. Osiedla Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej charakteryzuje niemal wzorcowe zespolenie architektury z ukształtowaniem terenu i zielenią. Przestrzeń jest urozmaicona rzeźbami, powstałymi pod koniec lat 70. XX wieku jako pokłosie Lubelskich Spotkań Plastycznych. Osiedle Mickiewicza jest uważane za wzór osiedla-ogrodu. Projektował je Feliks Haczewski.

Joanna Zętar

#### Bibliografia:

Aleksander Kierek, *Rozwój gospodarczy Lublina w latach 1918-1939* [w:] *Dzieje Lublina*, t. II, red. S. Krzykała, Lublin 1975, s. 33-114.

Dagmara Kociuba, *Lublin. Rozwój przestrzenny i funkcjonalny od średniowiecza do współczesności*, Toruń 2011.

Natalia Przesmycka, *Lublin. Przeobrażenia urbanistyczne 1815-1939*, Lublin 2012.

Maciej Sobieraj, *Między carskimi a polskimi czasami. Budownictwo wojskowe Lublina w latach 1901-1939* [w:] *Życie artystyczne Lublina 1901-2001*, red. L. Lameński, Lublin 2001, s. 81-104.

# HANSENOWIE. OSIEDLE I COŚ JEJCZE

Gdyby zorganizowano sondę, w której lublinianie mieliby wskazać architektów, kojarzących się z Lublinem, na pewno wśród odpowiedzi nie zabrakłoby postaci Zofii i Oskara Hansenów. Niewątpliwie słynnemu małżeństwu projektantów nie można odmówić rozpoznawalności, choćby dzięki, trwającemu od pewnego czasu, dużemu zainteresowaniu ich twórczością, a także publikacjom i wystawom, przedstawiającym dorobek projektowy architektów.

W Lublinie Hansenowie dali się poznać, przede wszystkim, za sprawą osiedla im. Juliusza Słowackiego, zaprojektowanego dla Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej. Realizacji nietuzinkowej, ale też od lat będącej tematem wielu dyskusji. Osiedle to budzi do dzisiaj różnorodne emocje i oceny – począwszy od zachwytu i pochwał, a kończąc na narzekaniu i krytyce. Przez lata narosło wokół tej realizacji wiele mitów i legend, co też w pewien sposób wyjaśnia trwałą obecność Hansenów w zbiorowej pamięci lublinian. Być może część mitów uda się obalić dzięki Muzeum Osiedli Mieszkaniowych, działającemu w jednym z pawilonów targu przy ul. Wileńskiej 21.

O Hansenach napisano już dużo i wyczerpująco. Ale może dotychczas zbyt skupiano się na teorii formy otwartej – istotnej skądinąd części twórczości słynnej pary architektów? Rozwijana głównie przez Oskara Hansena idea, stała się kluczem do rozwiązywania wielu zagadnień projektowych. Z tego powodu na architekcie często ciążyły zarzuty: „artysty”, „plastyka”, kogoś z kim są „zawsze jakieś problemy”. Ale gdy mowa jest o zaprojektowanych przez Hansenów osiedlach mieszkaniowych, ważne, a może nawet ważniejsze, jest przybliżyć nie wyzwań, jakie stwarzały obecne w latach 60. obostrzenia, wynikające z przyjętej w epoce gomułkowskiej polityki budowlanej państwa. Projektowanie w ówczesnej Polsce wymagało od architektów dużej sprawności i nieszablonowego myślenia, żeby nie dopuścić do powstania monotony i odczłowieczonych blokowisk. Po wprowadzeniu nowych surowych normatyw mieszkaniowych i urbanistycznych oraz polityki oszczędnościowego budownictwa, niemożliwe stało się powtórzenie formy tak bardzo chwalonego i budzącego zachwyt wśród lublinian osiedla im. Adama Mickiewicza, uchodzącego za wyznacznik jakości środowiska mieszkaniowego.

Kiedy Hansenowie zostali zaproszeni do współpracy przez Lubelską Spółdzielnię Mieszkaniową, wdziali już, że przepisy wymagają projektowania małych, przesadnie tanich w budowie i oszczędnych w wyposażeniu mieszkań oraz gęsto zaludnionych osiedli ze zredukowaną powierzchnią terenów zielonych. Para architektów, zdając sobie sprawę ze skali ówczesnych problemów mieszkaniowych, doszła do wniosku, że projektując osiedle według obowiązujących norm, należy przewidzieć możliwość dostosowania do późniejszych, zmienia-

jących się potrzeb użytkowników, nie narażając przy tym na zmarnowanie wysiłku i funduszy spółdzielców, włożonych w budowę osiedla. Zaprojektowali więc długie bloki, o szkieletowej konstrukcji, która pozwoliła dowolnie formować układy mieszkań na teraz i w przyszłości. Zastosowane rozwiązanie przyniosło znaczne oszczędności, które można było przeznaczyć na wyposażenie mieszkań oraz zagospodarowanie przestrzeni osiedla – placów zabaw, czy też małej architektury. Zaoszczędzono również dużo terenu wolnego od zabudowy, który przeznaczono na zieleń osiedlową. Przy projektowaniu osiedla zaowocowały wówczas doświadczenia międzywojennej szkoły wybitnych polskich architektów: Szymona i Heleny Syrkusów – prekursorów rozsądnego kierunku prefabrykacji w budownictwie mieszkaniowym – a także Romualda Gutta, podkreślającego wagę w architekturze tego, co humanistyczne. Doskonale widać też wpływ współczesnych Hansenom kierunków: strukturalizmu, kompozycji linearnych i pasmowych, czy dążeń do integracji architektury z krajobrazem i przywrócenia na nowo w jej centrum człowieka i jego potrzeb. Po latach Zofia Hansen przyniosła, w wywiadzie z Joanną Mytkowską, że osiedle im. Słowackiego uważa za najbardziej udany projekt.

Ówczesną problematykę mieszkaniową, związaną nie tylko z osiedlem im. Słowackiego, przybliżyła ma wystawa przygotowywana w pawilonie zajmowanym przez Muzeum Osiedli Mieszkaniowych. Ogromna mapa, znajdująca się wewnątrz, przedstawiająca siedem osiedli Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, doskonale ilustruje skalę założenia wielotysięcznej dzielnicy Rury. Wokół mapy mają się koncentrować opowieści o genezie zjawiska i zasadach działania osiedli mieszkaniowych oraz współczesne spojrzenie na ich funkcjonowanie. Ważną rolę pełnić będzie też kolekcja przedmiotów i związanych z nimi opowieści, zebranych od mieszkańców lubelskich osiedli.

Związki Hansenów z Lublinem to nie tylko osiedle im. Słowackiego. W 1967 roku został zatwierdzony projekt kolejnego zespołu mieszkaniowego dla Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej o roboczej nazwie „Osiedle Słowackiego II”. Realizacja nie doszła jednak do

skutku z powodu wycofania się spółdzielni. W efekcie, nowe osiedle, nazwane już imieniem Zygmunta Krasińskiego, opracowano w lubelskim Miastoprojekcie. Wiele rozwiązań pozostało jednak niezmiennych w stosunku do projektu Zofii i Oskara Hansenów. Kolejny ślad po parze architektów znajduje się tuż obok, przy ulicy Tomasza Zana. Zespół Studium Nauczycielskiego, zaprojektowany dla UMCS, miał się składać z części dydaktycznej oraz internatu ze stołówką i pomieszczeniami socjalnymi. Zamierzenie urzędujstwniono tylko połowicznie, pozostawiając część dydaktyczną w sferze planów. W końcu, jedna z najbardziej nowatorskich koncepcji w dorobku Hansenów, czyli projekt ogrodu botanicznego UMCS, którego realizację zaplanowano na Sławinku. Istotną zasadę idei w projekcie ogrodu dobrze opisuje Joanna Dudek-Klimiuk: „(...) Jednostką uprzywilejowaną, dla której należy stworzyć optymalne warunki życia i rozwoju, jest bowiem nie człowiek, a roślina. Powszechną w cywilizacji zachodniej zasadą dominacji człowieka nad przyrodą Hansen próbuje zastąpić zasadą szacunku człowieka dla natury (...) Rośliny i ich zbiorowiska wyznaczają sposób poruszania się po ogrodzie, wiele tradycyjnych ścieżek zastąpiono pomostami i kładkami rozmieszczonymi bądź tuż nad płaszczyzną ziemi czy wody, bądź wysoko w koronach drzew, tak, by umożliwić obserwację przyrody bez ingerencji w tok jej istnienia, a tym samym zminimalizować niszczenie roślin przez przyszłych zwiedzających”.

Warto wspomnieć o jeszcze jednej historii, łączącej Oskara Hansena z naszym miastem. Pod koniec lat 40. podjął studia na Politechnice Warszawskiej, wówczas z tymczasową siedzibą w Lublinie. Przypadek chciał, by trafił na swojego dawnego przyjaciela, który namówił go do studiowania architektury. Kto mógłby przypuszczać wtedy, że w tym samym mieście zaprojektuje swoją najbardziej rozpoznawalną realizację, nazywaną potocznie „osiedlem Hansena”?

Marcin Semeniuk



Przed II wojną światową Spółdom stał się dumą i wzorem żydowskiej spółdzielczości, a z czasem najlepszym przykładem żydowsko-polskiej współpracy. Choć był dziełem ludzi o skrajnie różnych poglądach, nie było w nim miejsca na walkę polityczną. Celem spółdzielni była budowa tanich i nowoczesnych mieszkań, które będą wspólnym domem ludzi różnych przekonań i religii. Twórcą i spiritus movens Spółdomu był Lejb Geliebter. Jego talenty organizacyjne przewyższały wszystkich w Lublinie i skrojone były chyba na potrzeby znacznie większego i zamożniejszego miasta. Mierzył wysoko, a w snuty przez siebie planach sięgał coraz wyżej i dalej i jakimś nadludzkim wysiłkiem pisał na szczyt. Będąc na samej górze, potknął się, a wraz z jego talentem wypaliły się na zawsze ambitne plany Spółdomu.

## UŁAGODNIENIE GŁODU

Spółdzielcze Stowarzyszenie Mieszkaniowe Spółdom powstało po wyborach samorządowych z czerwca 1927 roku, kiedy większość w Radzie Miejskiej uzyskały lewicowe PPS, Bund i Poalej Syjon Lewica, a prezydentem miasta został Antoni Pączek. Jednym z priorytetów nowej koalicji było uruchomienie znacznych środków finansowych, przekazywanych za pośrednictwem Komitetu Rozbudowy m. Lublina instytucjom i osobom prywatnym, budującym i remontującym domy. W latach 1921-1930 w mieście wybudowano 534 budynki, w których znajdowało się niecałe 3000 izb. W tym samym czasie ludność Lublina wzrosła o ponad 26 tysięcy osób. Tak radykalny wzrost liczby mieszkańców przekładał się na znaczne pogorszenie sytuacji mieszkaniowej, która zaczęła przybierać charakter niemal katastrofy. Wysokim czynszom i narastającemu zagęszczeniu, nawet w lepszych dzielnicach, towarzyszył często zupełny brak instalacji elektrycznych, kanalizacji i bieżącej wody oraz centralnego ogrzewania. Sytuacja wyglądała jeszcze gorzej w tak zwanej dzielnicy żydowskiej. O ile wokół ulicy Lubartowskiej zdarzały się nowoczesne instalacje, a domy były stosunkowo duże, o tyle na Podzamczu i Starym Mieście warunki sanitarne często urągały elementarnym wymaganiom higieny, a znajdujące się tam budynki niejednokrotnie groziły zawaleniem. Spółdom powstał w celu choć minimalnej poprawy tej sytuacji albo – jak pisali sami przedstawiciele spółdzielni – „dla ułagodnienia głodu mieszkaniowego”. Najpierw na żydowskiej ulicy, a potem w całym Lublinie.

Młoda spółdzielnia uzyskała od miasta ogromne wsparcie. Bez kredytów przyznanych przez Komitet Rozbudowy Miasta jej początkowa działalność byłaby niemożliwa i inicjatywa pozostałaby jedynie w sferze marzeń. Na posiedzeniu komitetu z 9 maja 1928 roku Spółdomowi przyznano pierwszy duży kredyt – 400 tysięcy złotych. Decyzja na jakiś czas wydernowała budżet komitetu, ale dla Spółdomu była przełomowa i odbiła się dość mocnym echem w lokalnej prasie żydowskiej. Umożliwiła bowiem rozpoczęcie prac budowlanych na placu przy Probstwie, które wkrótce miało stać się miejscem flagowej inwestycji spółdzielni.

Co ciekawe, osoby zaangażowane w powstawanie i rozwój Spółdomu reprezentowały w zasadzie całe spektrum żydowskiej sceny politycznej ówczesnego Lublina. Geliebter był jednym z przywódców ruchu syjonistycznego, w dodatku jego radykalnego odłamu, zwanego syjonizmem rewizjonistycznym. Henryk Bekker oraz związany ze spółdzielnią Mosze Gradel zasiadali w kierownictwie Żydowskiej Partii Ludowej, nastawionej do syjonizmu dość nieprzychylnie i akcentującej raczej potrzebę wzmocnienia świeckich społeczności żydowskich w diasporze. Jeszcze ostrzej do syjonizmu ustosunkowany był zapewne Szlomo Herszenhorn, jeden z przywódców lokalnego Bundu, zatem partii programowo antysyjonistycznej. Na orbicie podobnej do Geliebtera, ale zabarwionej dodatkowo religijnie, sytuował się natomiast związany ze Spółdomem Aron Jakow Kantor, rabin i działacz religijno-politycznego ruchu Mizrahi. „Spółdom to jedyne miejsce, gdzie nawet dziennikarz może przyjemnie spędzić godzinę. Przy jednym stoliku siedzą ludzie ze skrajnej lewicy i prawicy, ale nie ma tam żadnych walk partyjnych. Spokojnie analizują plany, projekty i budują” – pisano na łamach „Lubliner Tugblat”.

# GŁOŚNIEJ NAD SPÓŁDOMEM



Rada, Zarząd i mieszkańcy Spółdomu na podwórzu kamienicy na Probstwie. Na lewo od siedzącego w środku Lejba Geliebtera być może inż. Henryk Bekker. Na fotografii znajduje się także Jakow Nisenbaum (jako jedyny w drugim rzędzie od góry), Szaul Stupnicki (stoi w drugim rzędzie od dołu po lewej stronie) oraz prawdopodobnie Aron Jakow Kantor (siedzi ostatni w drugim rzędzie od dołu po prawej) i Mojsze Gradel (pod Nisenbaumem w ciemnej marynarce). Spółdom... 1930.

## KAMIEŃ Z GROBU PRAMATKI RACHELI

Budowę trzypiętrowej kamienicy na Probstwie rozpoczęto dokładnie 5 czerwca 1928 roku o godzinie 13 od uroczystego wmurowania kamienia węgielnego. Akt erekcyjny spisany w językach polskim, hebrajskim i żydowskim został podpisany przez wszystkich zgromadzonych. Do specjalnego pojemnika, w którym umieszczono akt, Geliebter włożył kilka polskich i palestyńskich monet – oraz – kamień z grobu pramatki Racheli. Rzekomy grób żony Jakuba zwanego Izraelem znajduje się nieopodal Betlejem i stanowi trzecie najświętsze miejsce judaizmu, a za święte uznawane jest także przez muzułmanów i chrześcijan. Geliebter jako syjonista pragnął przenieść się do Palestyny, jednak z różnych względów planów tych nigdy nie zrealizował. Udało mu się jednak odwiedzić Palestynę, a podczas podróży odbyć pielgrzymkę do grobu pramatki. I tak po dziś dzień w fundamentach domu na Probstwie zatopiony jest kamień z jednego z najświętszych miejsc świata, matriarszego grobowca nieopodal Betlejem.

Kiedy chłodną, czwartkową noc sylwestrową 1929 roku rozgrzewał do czerwoności czeski film „Erotikon”, grany na ekranach kina „Wir” przy Krakowskim Przedmieściu, a tłumy kłębiły się pod kinem „Corso”, gdzie występowała bogini Ida Kamińska, na placu przy Probstwie trwała skromniejsza, ale nie mniej piękna uroczystość. Tego dnia wręczono klucze pierwszym lokatorom kamienicy Spółdomu. „Kiedy tam przyszłiśmy

– relacjonowali Jakow Nisenbaum i Szaul Icchok Stupnicki z „Tugblatu” – zwyczajnie nie poznaliśmy miejsca. Jeszcze niedawno był tam po prostu pusty plac, a dosłownie przed chwilą opisywaliśmy uroczystość wmurowania kamienia węgielnego pod pierwszy dom. A teraz? Wznosi się tu potężny budynek. Poprawka – trzy budynki, a w jednym zamontowano już szyby i instalację elektryczną. Jedynie okna nie są jeszcze zaciągnięte zasłonami i widać przez nie szczęśliwe twarze nowych lokatorów, owych wybrańców, którzy do niedawna mieszkali w jakichś kątach jako współlokatorzy, a teraz mogą cieszyć się własnymi mieszkaniami”.

Decyzja o rozdaniu pierwszych kluczy w ostatnią noc 1929 roku była dobrze przemyślana. Na krótko przed końcem roku zarząd Spółdomu zadał członkom następujące pytanie: czy powinno się kontynuować prace budowlane nim wszystkie mieszkania nie zostaną wykończone i wydać je naraz, czy może przekierować środki na szybsze wykończenie części lokali, dzięki czemu możliwe będzie udostępnienie ich osobom najbardziej potrzebującym? W wyniku dyskusji członkowie spółdzielni postanowili – mimo że wszyscy czekali na swoje mieszkania – wznieść się ponad egoizm i upoważnić zarząd do wykończenia kilku lokali. Przedstawiciele specjalnej komisji odwiedzali wszystkich członków i na podstawie dokonanych przez siebie obserwacji wyłonili grupę pierwszych lokatorów. Przeznaczono dla nich 9 mieszkań w lewym skrzydle kamienicy, które co prawda formalnie należały do innych osób, ale które zajmować mieli jedynie tymczasowo, nim nie ukończy się całego budynku. Dla owej grupy wybrańców był to prawdopodobnie najszcześniejszy i najbardziej pamiętny sylwester ich życia.

## NOWA DZIELNICA

Nim oddano do użytku wszystkie mieszkania na Probstwie, w marcu 1930 roku odbyło się kolejne walne zebranie członków Spółdomu, podczas którego Geliebter przedstawił zgromadzeniu ambitny projekt, który najłatwiej określić chyba planem budowy całkiem nowej dzielnicy. Przedsięwzięcie zakładało postawienie szeregu domów, w których łącznie miało znaleźć się 700 izb. Trudno oszacować, jaką ilość budynków zakładał nowy plan Geliebtera. Najprawdopodobniej miały powstać na Probstwie, gdzie Spółdom zakupił dwa duże place pod numerami 12 i 17 o łącznej powierzchni niemal 30 tysięcy metrów kwadratowych. Na pewno wszystkie miały być nowoczesne i stosunkowo tanie w budowie i eksploatacji. Plan z pewnością zakładał także przyłączenie ich do instalacji elektrycznych, grzewczych i sanitarnych, a trzeba pamiętać, że w międzywojniu toaleta znajdująca się wewnątrz mieszkania stanowiła rzadki luksus.

Geliebter i inż. Bekker zreferowali także szczegóły porozumienia, które spółdzielnia zawarła z Towarzystwem Ubezpieczeniowym Przeworność. Towarzystwo zaproponowało Spółdomowi pożyczkę w wysokości półtora miliona złotych, natomiast w krajowych bankach spółdzielnia planowała zaciągnąć kredyt w wysokości kolejnych 500 tysięcy, co dawało sumę tyleż okrągłą, co astronomiczną. Podano również do wiadomości, że dzięki pożyczce udzielonej przez Komitet Rozbudowy Miasta już w lipcu bieżącego roku uda się wykończyć wszystkie mieszkania w dwóch domach przy Probstwie i rozdać klucze nowym lokatorom. Jednocześnie 80 proc. nowych członków Spółdomu opowiedziało się za budową kolejnego budynku także w centrum miasta, a jedynie 20 proc. za kontynuowaniem inwestycji wyłącznie na Probstwie. Opinia nowych członków Spółdomu przeważała i ostatecznie zdecydowano się na budowę nowego domu również poza Probstwem. Były to pierwsze oznaki pęknięcia, które niebawem nabrało wyraźnych kształtów i uwidoczniło się w postaci podziału na lokatorów starego i nowego Spółdomu.

Okladka i karta tytułowa broszury „Spółdom”, *gezelschaft cu lindern di dires-nojt in Lublin* / „Spółdom”, spółdzielnia dla ułagodnienia głodu mieszkaniowego w Lublinie, Lublin 1930. Na okładce front pierwszej kamienicy Spółdomu na Probstwie.







Rada i Zarząd Spółdomu. W środku siedzi Lejb Geliebter, obok niego po lewej stronie być może inż. Henryk Bekker. Drugi od lewej (z charakterystycznym sumiastym wąsem) siedzi Szaul Stupnicki, natomiast mężczyzna z ciemną brodą w górnym rzędzie to zapewne Aron Jakow Kantor, *Spółdom...* 1930.

## STARY SPÓŁDOM

Zgodnie z obietnicą złożoną w marcu, latem 1930 roku oddano do użytku wszystkie mieszkania w dwóch budynkach na Probstwie. Na początku lipca zorganizowano tam wystawny bankiet, który miał swojego marszałka w osobie Mosze Gradla, a szaszytną funkcję kelnera podczas toastów sprawował Jakub Geliebter, brat prezesa spółdzielni. Przybyli tam wszyscy członkowie i sympatycy Spółdomu, natomiast całą ceremonię miał dokumentować znany fotograf Eliaz Funk z atelier Bernardi przy Krakowskim Przedmieściu 60. W imieniu Rady i Zarządu Spółdomu wręczono Geliebterowi złotą papierońnicę z wygrawerowaną dedykacją – prezent w uznaniu dla jego nieskończonej energii i inicjatywy. Następnie lokatorzy unieśli Geliebtera wysoko na rękach, a on – zapewne wzruszony i może nieco zmieszany – zauważył, że to dość rzadkie zjawisko, by działacze społeczni dostawali złote papierońnice zamiast kamieni w głowę.

Kiedy entuzjastyczna atmosfera nieco się uspokoiła, Geliebter zdał szczegółowy raport z dotychczasowej działalności spółdzielni i raz jeszcze przedstawił ambitne plany na przyszłość, które miały już podobno wejść w fazę wstępnej realizacji. Zauważył ponadto, że wkrótce rozpocznie się prace nad budynkiem w centrum miasta – nowym Spółdomem, jak zaczęto już mówić w Lublinie. Relacjonował, że chęć zamieszkania w nim wyraziła znaczna liczba chryścijan. Było to doprawdy novum w historii spółdzielni, która dotychczas składała się wyłącznie z Żydów. Wyrażano co prawda zaniepokojenie, że planowany budynek będzie wygodniejszy i bardziej nowoczesny, stąd starzy członkowie Spółdomu będą w jakimś sensie poszkodowani, z drugiej jednak strony fakt, że żydowska inicjatywa wzbudziła zainteresowanie wśród Polaków napawał Żydów prawdziwą dumą. Okazało się, że żydowskie przedsięwzięcia mogą być doceniane, a przede wszystkim, że mogą przysłużyć się całemu miastu i wszystkim jego obywatelom.

Kim byli mieszkańcy starego Spółdomu? Większość z nich stanowiła żydowska inteligencja, ludzie, których stać było na zapłacenie przystępnego, ale wciąż stosunkowo wysokiego czynszu. Po wybudowaniu dwóch 3-piętrowych budynków i wliczeniu wszystkich kosztów administracyjnych, miesięczne czynsze na Probstwie oscylowały wokół 25 złotych za jeden pokój. Po dokończeniu trzeciego budynku miały zmaleć o 3-4 złote i wnieść mniej więcej tyle, co tygodniowa pensja niewykwalifikowanego robotnika. W projektowanych budynkach czynsze miały być wyższe i wynosić około 40 złotych za pokój. Dużo, ale i tak znacznie mniej od cen rynkowych, wynoszących w nowym budownictwie prywatnym około 120 złotych za pokój miesięcznie. W starym Spółdomie mieszkali m.in. Najmanowie z dwoma uzdolnionymi muzycznie synami (13-letnim Erwinem i 10-letnim Ludwikiem), Wajnbergowie z 10-letnim synem Szłomą (utalentowanym malarzem) i Dajcerowie, których syn Henryk był stałym korespondentem korczakowskiego „Małego Przeglądu”.

## NOWY SPÓŁDOM

Uroczyste wmurowanie kamienia węgielnego pod nowy Spółdom, czyli budynek przy Wieniawskiej 6, odbyło się zaledwie miesiąc po lipcowym bankiecie na Probstwie. Na miejscu stawili się przedstawiciele Urzędu Wojewódzkiego, Starostwa, Banku Gospodarstwa Krajowego, Magistratu, Związku Rewizyjnego Spółdzielni Mieszkaniowych, Gminy Żydowskiej i prasy, centrali Prudentiala w Londynie, różnego rodzaju związków zawodowych i kupieckich oraz organizacji społecznych. Oprócz nich pojawili się także wszyscy lokatorzy starego Spółdomu oraz przyszli mieszkańcy Wieniawskiej. Plac zapelniał

proporce spółdzielcze oraz flagi państwowe, a przede wszystkim tłumy Polaków i Żydów. Otwierając uroczystość, Geliebter podziękował władzom państwowym i wszystkim instytucjom za ogromne wsparcie okazane Spółdomowi, dzięki czemu spółdzielnia może kontynuować swoją działalność na rzecz społeczeństwa i kraju. Podkreślił jednocześnie, że nowy budynek Spółdomu ma być domem wielonarodowym, mostem porozumienia między Żydami a Polakami w Lublinie.

Po podpisaniu przez oficjeli aktu erekcyjnego, przedstawiciel Urzędu Wojewódzkiego wmurował pierwszą cegłę. Następnie przeniesiono się na Probstwo, gdzie zorganizowano elegancki bankiet. Atmosfera była bardzo przyjazna, ale nad uroczystością zawisł pewien cień. Po tym, jak przedstawiciel Prudentiala wygłosił do zgromadzonych kilka słów po angielsku, wszyscy inni przemawiali w zasadzie wyłącznie po polsku. Nawet Geliebter nie powiedział słowa po żydowsku, a inni wtręcali tylko pojedyncze zdania. Ówczesna prasa żydowska ze zmartwieniem odnotowała ten szczegół i zwróciła uwagę, że przedstawiciele władz państwowych nie mieli możliwości zorientować się, że uczestniczą w przedsięwzięciu budowanym żydowskimi rękami i pieniędzmi. A przecież nie tak dawno rozpisywano się z dumą o żydowskiej inicjatywie, która złożyła uznanie Polaków. To, że przemawiano praktycznie tylko po polsku część społeczności żydowskiej odebrała jako przykre zacieranie faktu, że Spółdom został założony przez Żydów.

## BUDOWNICZY SOLNESS

Lejb Geliebter chciał budować coraz więcej, wyżej i lepiej. Piął się na sam szczyt, a współcześni widzieli w nim wyłącznie niezłomny optymizm, wręcz fanatyzm w dążeniu do swoich celów, nieprzebrane pokłady inicjatywy, woli, energii i niezłomności ducha. Urodził się

w Zamościu w 1874 roku, ale po ślubie z Bejlą Rajzlą Lewinkopf przeniósł się do Lublina, gdzie spędził całe dorosłe życie. Początkowo pragnął rozwiązać problem mieszkaniowy wśród Żydów, stąd pomysł na Spółdom i nowy kwartał na Probstwie. Ale żydowski światek w Lublinie szybko okazał się dla niego za ciasny, potrzebował wypłynąć na szersze wody i oprócz gmachów budować mosty, tym właśnie miał być przecież wielokulturowy dom na Wieniawskiej. Był człowiekiem bardzo skomplikowanym. Z jednej strony odnosił duże sukcesy biznesowe (był właścicielem wielkiego składu bławatnego, prezesem Banku Udziałowego i członkiem Izby Przemysłowo-Handlowej), z drugiej bez reszty poświęcał się bezinteresownej pracy społecznej. Jako skrajny syjonista marzył o emigracji do Palestyny, swoim córkom – Osnat i Abigail – już na początku XX wieku nadawał typowo hebrajskie imiona. Z drugiej jednak strony budował i wzmacniał społeczność żydowską w diasporze i bez żadnych problemów współpracował z ludźmi o diametralnie odmiennych poglądach politycznych. Jego niespokojny duch, szereg talentów i prawdziwych darów niebios zdumiewały współczesnych. A jednak obok towarzyszących mu stale optymizmu i energii, gdzieś głęboko czaił się w nim także bardzo mroczny cień. Przez lata tlił się, ale stopniowo narastał i ostatecznie pochłonął i stopił całą jego duszę. W czwartek 12 listopada 1931 roku około godziny 10 rano Lejb Geliebter popełnił samobójstwo w swoim mieszkaniu przy ulicy 3 Maja 22.

Wiadomość o samobójczej śmierci 57-letniego Geliebtera zelektryzowała cały Lublin. Od Krakowskiego Przedmieścia, przez Lubartowską, Piaski, Podzamcze, Wołę i Czechów wszyscy z niedowierzaniem pytali: „Czy to prawda, że nie żyje?”. Przez ostatnie dni Geliebter chorował, jednak każdy był przekonany, że wkrótce wstanie z łóżka z setką no-

wych pomysłów. Podobno tylko jednemu rejentowi wyznał lakonicznie, że życie już całkiem mu obrzydło. Dzień wcześniej miał jeszcze swobodnie rozmawiać z najbliższymi, ale w czwartek był bardzo wyczerpany. Wykorzystał moment, w którym został w mieszkaniu sam i powiesił się na linie przymocowanej do drzwi balkonowych. Zmarły pozostawił po sobie list pożegnalny, którego fragmenty przedrukowała nazajutrz żydowska prasa. „Wybaczenie mi, inaczej już nie umiem – miał pisać. – Niech się wam zdaje, że zachorowałem i umarłem. I tak nie ma już ze mnie żadnego pożytku. Każde słowo mnie denerwuje, stałem się wyczerpany i niezdolny do niczego”. W liście zostawił także kilka zaleceń dla rodziny i przyjaciół.

Pogrzeb odbył się 13 listopada w południe. Wszystkie instytucje zostały poproszone, by zamiast wieńców wpłaciły datki na rzecz biednych uczniów Gimnazjum Humanistycznego. Kondukt pogrzebowy wyruszył z ulicy 3 Maja, po czym przeszedł ulicami Radziwiłłowską, Krakowskim Przedmieściem, Nową i Lubartowską, aż do nowego cmentarza żydowskiego. Trumnę przez całą drogę niesiono, a podczas samego pogrzebu przemawiał szereg działaczy społecznych. Rabinat Lublina dozwolił złożenia zwłok wedle wszelkich przepisów, traktując śmierć Geliebtera jako nie-szczęśliwy wypadek, a nie samobójstwo.

Jeszcze przez kilka dni po śmierci Geliebtera ogłoszenia kondolencyjne wypełniały całe pierwsze strony „Lubliner Tuglatu”. Krótkie wzmianki na temat śmierci pojawiły się także na łamach nielicznych czasopism polskich. Co ciekawe, prasa polska sugerowała, że powodem samobójstwa Geliebtera były kłopoty finansowe, o czym gazety żydowskie w ogóle nie wspominały. Być może rzeczywiście problemy z pieniędzmi popchnęły go do ostateczności, ale w liście pożegnalnym chyba dość wyraźnie pobrzmiwają także inne, być może istotniejsze powody samobójstwa. Jego tajemnicza choroba na krótko przed śmiercią miała być może podłoże psychiczne, a niezdiagnozowana i nieleczona mogła rozwijać się u niego latami. Nigdy w każdym razie nie dowiemy się już, jakie były naprawdę motywy samobójczej śmierci Lejba Geliebtera.

Śmierć Geliebtera spowodowała w Spółdomie zapaść. Tylko on był w stanie udźwignąć misterną konstrukcję finansowo-inwestycyjną, a kiedy go zabrakło spółdzielnia zaczęła sypać się jak domek z kart. Mieszkania stały puste, nie było chętnych na zapisy, a londyńska centrala Prudentiala zmieniła warunki porozumienia ze spółdzielnią oraz zmniejszyła amortyzację kredytu. Kryzys zagroził istnieniu Spółdomu. Lokatorzy Probstwa zaczęli drzeć o swój los, ponieważ ich nieruchomości miała gwarantować budynek przy Wieniawskiej. Spółdom rozpoczął więc burzliwy proces sądowy, którego celem było objęcie spółdzielni nadzorem sądowym. Ostatecznie w marcu 1932 roku Spółdomowi udało się wygrać sprawę, ale z pozycji awangardowej osunął się raczej w cień lubelskiej spółdzielczości. Spółdzielnia przetrwała, zdołała ukończyć trzeci budynek na Probstwie i istnieje do dzisiaj.

Jakow Nisenbaum z „Lubliner Tuglat” nazwał Geliebtera mistrzem budownictwa Solnessem. Bohater dramatu Henryka Ibsena o tym tytule buduje w norweskim miasteczku potężną wieżę. Kiedy podczas jej inauguracji wchodzi na sam szczyt, potyka się i ginie podczas upadku. Także Geliebter nie doczekał ukończenia swojego ostatniego dzieła, budynku przy Wieniawskiej 6, który przez niemal 10 lat był potem wspólnym domem dla rodzin polskich i żydowskich.

Piotr Nazaruk

Poniżej: Kamienica Spółdomu na Probstwie, widok od podwórza, *Spółdom...* 1930.







OD POCZĄTKU PLANOWALIŚMY PORUSZYĆ TEN TEMAT, A WYBÓR OSOBY BYŁ DLA NAS NATURALNY.

O DZIENNIKARSTWIE OPowie REDAKTOR NACZELNA PA.RY, DZIENNIKARKA LUBELSKIEJ GAZETY WYBORCZEJ.

MAŁGORZATA DOMAGAŁA.

scenariusz:  
Maciej Tuora

rysunki:  
Maciej Pałka

MAŁCU, CZY MI SIĘ WYDAJE, ŻE POWINNO DĄŻYĆ LUBIĆ POWIĘĆ?

FAKTYCZNIE, TO Z POWODU TYTUŁU BEZKĄSZA OD ODCINKA.

# DEADLINE

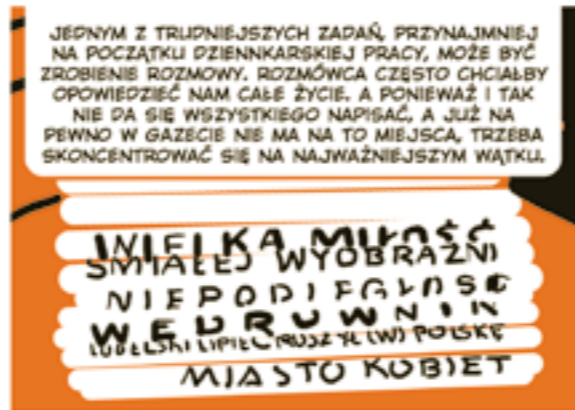
## Jak to się zaczęło:

Gatunków dziennikarstwa jest mnóstwo i tak samo jak sposobów przekazywania informacji wszystko to zmienia się, ewoluuje.

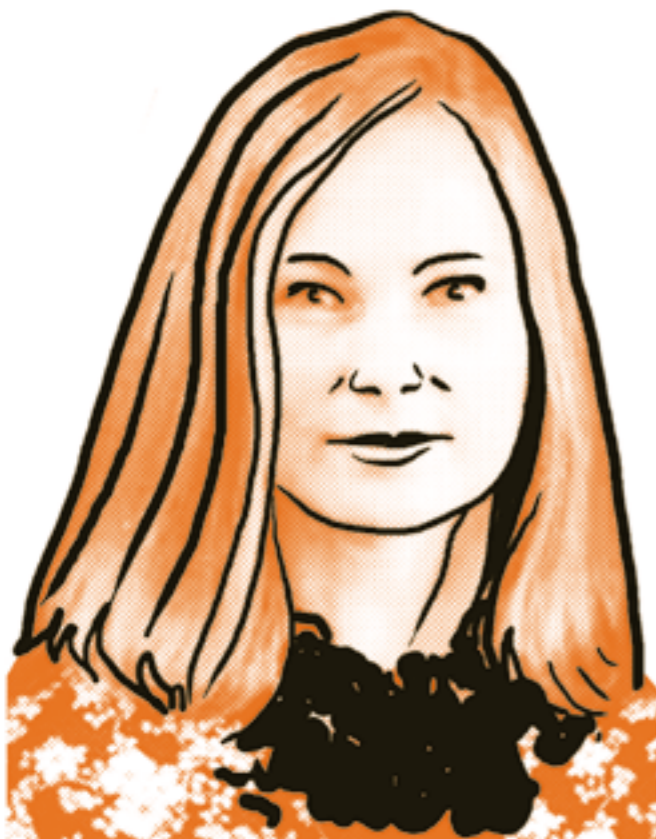
Pierwszymi dziennikarzami nazywa się kronikarzy, którzy opisywali losy świata.



W Polsce przełomem dla dziennikarstwa były zmiany ustrojowe w kraju i ustalenia Okrągłego Stołu. Powstanie w 1989 r. Gazety Wyborczej, której od początku redaktorem naczelnym jest Adam Michnik - polski publicysta, eseista, pisarz, historyk i działacz polityczny.



W komiksie wykorzystaliśmy zdjęcia z Saloniku prasowego Pa.Ry na Placu Litewskim autorstwa Magdy Krasuskiej.



Małgorzata Domagała, rocznik 1983.

Absolwentka historii sztuki KUL, od 2007 r. dziennikarka Gazety Wyborczej Lublin. Pisze o aktualnych wydarzeniach, planowanych inwestycjach, historii miasta. A najchętniej o wszystkim, co związane jest z architekturą, przestrzeniami publicznymi i designem. Na przykład o Marii Chomentowskiej, zapomnianej ikonie polskiego designu, kultowym talerzu PRL „Rotor”, czy problemach handlowców z lubelskiego deptaka, z którymi muszą się mierzyć po wybudowaniu w mieście galerii handlowych.

W 2018 r. redaktor naczelna Pa.ry

## Zrób to sam:

1. Pamiętaj, że dziennikarstwo obowiązują pewne **ZASADY i ETYKA**.

2. Tekst dziennikarski powinien odpowiadać na 5 pytań (5 W): **WHO, WHEN, WHERE, WHAT, WHY**.

3. Najlepiej ułożyć tekst na kształt odwróconej piramidy. **OD NAJWAŻNIEJSZEJ DO NAJMNIEJ ISTOTNEJ** dla czytelnika informacji.



# Jak się mieszkało...

Dla tych, co mieszkają w miastach, często już dziś jest niezauważalne, że miasta miały swój szybki, a często za szybki rozwój. Dynamika rozrastania się miast w dziki sposób była plagą. Wypływało to często z biedy i niewiedzy oraz z trendu, że wielu w miastach szukało szczęścia. Pochodzę z Poznania i mówiąc o okresie międzywojennym posłużę się dwoma obrazami. „Dzikie osiedla”, koczowiska, powstające w czasie tak zwanego „Wielkiego kryzysu”, od 1929 roku wyglądały tak, jak pisze pewna autorka, sama pochodząca z takiego społecznego środowiska, jakie opisuje: „Do tego czasu uważałam się za ostatnią nędzarkę, a jednak wobec tego, co ujrzałam, poczułam się burżujką. Otóż przytulone, jakby w dziwnej niemocy stały jedna przy drugiej budy, budki, budeczki, lecz z czego je pobudowano, przechodziło ludzkie pojęcie. To wozy lub części, jakieś powyginane kawały blachy reklamowej, dykta, deseczki, glina, gips, darń. Tu i ówdzie lśniły kawały szyb, zastępujące okna. Wyglądało to tak dziwnie i fantastycznie, że się zdawało, że przeniesiono nas w krainę złych baśni, gdzie dzieci olbrzymów próbowały nad brzegiem zbudować ludzkie osiedla. Lecz jeśli ktoś myśli, że te karykatury rozmieszały, myli się, one przerażały, były widmem teraźniejszości i groźnym mementem przyszłości”. Slumsy były bez wątpienia i w innych miastach. Lublin miał także swoją biedę, robotniczą i biedę żydowską. Mam przed oczyma zdjęcia, obrazy z Podzamcza,

Bronowic, Wieniawy. Społeczne, socjalne uwarunkowania prowadziły do życia tam dużej liczby ludzi.

Ale znam i drugi opis mieszkań w Poznaniu, tych mieszczańskich z tego samego okresu końca lat 20. i początku lat 30. XX wieku. Architekt lwowski Władysław Czarnecki, zanim przyjechał do Poznania, od kolegów dowiedział się o wystroju i podziale typowego mieszkania poznańskiego. „Kuchnia musi być duża, bo nawet tak zwana inteligencja jada w kuchni; jadalnia z ciężkimi meblami używana jest tylko dla gości. Najgorszy i najbrzydszy pokój przeznaczony jest na wspólną sypialnię. Zamożniejsza burżuazja musi mieć »gabinet«, coś w rodzaju salonu dla gości. Tam meble pluszowe i fotele pluszowe na co dzień zasłonięte są pokrowcami, pokoik zamknięty jest dla domowników. Używa się go na święta, imieniny i ewentualnie na specjalne przyjęcia dla gości”. A później następuje w opisie porównanie poznańskich z warszawiakami, ciekawe, gdzie lublinianie poczuliby się bardziej u siebie. „Z ogólnego porównania warszawiaków z poznańskimi wynikało, że warszawiacy mieszkają źle i nie dbają o mieszkanie, natomiast lubią ubierać się ładnie i modnie, dobrze zjeść i popić, posiedzieć w kawiarni i poplotkować. Poznaniacy mieszkają dobrze i dbają o mieszkanie, oszczędzają na jedzeniu, ubierają się skromnie i po kawiarniach nie siedzą. Pracują pilnie i solidnie, a warszawskie kanty i cwanactwo nie są im znane. Nie mają też poczucia u-

moru, wszystko traktują serio i dosłownie”. Lublin też ma swoje nowoczesne domy, modernistyczną architekturę inteligentną i mieszczańską. Dla mnie symbolem jest np. ulica Chopina, czy domy przylegające do Ogrodu Saskiego od strony ulicy Wieniawskiej. Lublin, jak każde polskie miasto II Rzeczypospolitej, był konglomeratem nowoczesnych poszukiwań i budynków wzniesionych w latach secesji i modernizmu oraz owych „dzikich miejsc” z uwzględnieniem prawdziwej biedy żydowskiej.

Sam gdy dziś, już w XXI wieku, odwiedzam moich przyjaciół, którzy mają piękne domy, mówię sobie wtedy, Dostatni nie zazdrość, bo i ty nie najgorzej mieszkasz. Tak, bo klasztor Dominikanów na Starym Mieście w Lublinie nie jest najgorszą miejscówką. Ale muszę podkreślić, że choć mieszkam tu już ponad osiemnaście lat, to ciągle nie mogę się nadziwić, że okolice piękno starej architektury ciągle nie może się doczekać swojego czasu i swoich ludzi w przywracaniu uroków ukrytych w kamieniach. Stare Miasto w Lublinie nie może się ciągle podnieść z zapuszczenia, zaludnienia lokatorami po Zagładzie, ich potomkami. Miasto wokół mnie żyjące zasługiwałoby na więcej. Ale cóż, jak się nie ma co się lubi, to się lubi co się ma. I tyle stary Lublinie, pamiętający dużo starsze czasy niż II Rzeczypospolita.

Tomasz Dostatni OP

Poezja jest dla ludzi, jest wolnością słów, jest słowem właściwie użytym – warto przy niej obstawać. Zwłaszcza dziś, w świecie słów na posyłki, słów udreżonych i oglupiałych, warto słuchać wierszy, warto wsłuchiwać się w ich słowa: wolne, odważne, brzmiące mocno i czysto, konieczne – jak oddech.

Paweł Próchniak

Julian Tuwim

## Mieszkańcy

Straszne mieszkania. W strasznych mieszkaniach  
Strasznie mieszkają straszni mieszczańcy.  
Pleśnią i kopciami pełnie po ścianach  
Zgroza zimowa, ciemne konanie.

Od rana bełkot. Bełkocą, bredzą,  
Że deszcz, że drogo, że to, że tamto.  
Trochę pochodzą, trochę posiedzą,  
I wszystko widmo. I wszystko fantom.

Sprawdzą godzinę, sprawdzą kieszenie,  
Krawacik musną, klapy obciagną  
I godnym krokiem z mieszkań – na ziemię,  
Taką wiadomą, taką okrągłą.

I oto idą, zapieci szczerline,  
Patrzą na prawo, patrzą na lewo.  
A patrząc – widzą wszystko oddzielnie:  
Że dom... że Stasiek... że koń... że drzewo...

Jak ciasto biorą gazety w palce  
I żują, żują na papkę pulchną,  
Aż, papierowym wzdęte zakalcem,  
Wypchane głowy grubo im puchną.

I znowu mówią, że Ford... że kino...  
Że Bóg... że Rosja... radio, sport, wojna...  
Warstwami rośnie brednia potworna  
I w dżungli zdarzeń widmami płyną.

Głowę rozdeptą i coraz cięższą  
Ku wieczorowi ślepo zwieszają.  
Pod łóżka wąż, złodzieja węższą,  
Łbem o nocniki chłodne trącając.

I znowu sprawdzą kieszonki, kwitki,  
Spodnie na tyłkach zacerowane,  
Własność wielebną, święte nabytki,  
Swoje, wyłączne, zapracowane.

Potem się modlą: „...od nagłej śmierci...  
...od wojny ...głodu ...odpoczywanie”  
I zasypiają z mordą na piersi  
W strasznych mieszkaniach straszni mieszczańcy.

Przedruk za: Julian Tuwim, *Wiersze wybrane*, opracował Michał Głowiński, Wrocław 1986, s. 148-149.



## JEST PANI TEGO WARTĄ

część III

Mile uczucie świeżości, kremy do różnych rodzajów cery, wyłącznie naturalne składniki, odżywcze mleczka, zluszczone i zwężające pory olejki do mycia twarzy... Brzmi znajomo, prawda? Choć wszystkie te hasła pochodzą z przedwojennych reklam kosmetyków, równie dobrze sprawdziłyby się dzisiaj. A w zasadzie – sprawdzają się i dziś, bo przez ostatnich 100 lat w reklamie nie zmieniło się praktycznie nic.

Niektóre z reklam były niezwykle skuteczne i udawało im się na trwałe wpisać konkretne produkty w polski krajobraz. Tak było z firmą Polski Przemysł Gumowy (PPG), producentem butów Pepege, która reklamowała się intensywnie przez cały okres międzywojenny. Efekt tego był taki, że na zwykłe trampki zaczęto mówić pepęgi. Na długo przed adidasami tej polskiej firmie udało się coś, co jest marzeniem każdego producenta – zupełne utożsamienie produktu z firmą. Ciekawie wyglądały również strategie marketingowe firmy Majde i ska., producenta świec i mydła Rewolwer. Ta absurdalna nazwa została przez firmę wykorzystana do cna – rewolwery odbijane były na kostkach mydła, pojawiały się na wszystkich opakowaniach i reklamach. Na warszawskiej willi Marconiego przy ulicy Marszałkowskiej we wczesnych

latach 30. zabłysnął neon firmy, zwieńczony gigantycznym rewolwerem, a co jakiś czas do mydła dodawano składane, tekturowe rewolwery dla dzieci. Dużymi sukcesami mogła popisać się również (istniejąca do dzisiaj) firma Centra, produkująca baterie i niewielkie lampki i latarki. Reklamy tej firmy już w latach 20. przybrały formę zabawnych historyjek obrazkowych. „Tak ciemno! Czy mogę Panią odprowadzić do domu?” – pytał jakąś kobietę bohater jednej z tych reklam – Nie! Dziękuję – odpowiadała singielka – bo mam w torebce małą, lekką i praktyczną latarkę „CENTRA-MIKRO” która mi towarzystwo Pańskie najzupełniej zastąpi!”.

Wiele przedwojennych reklam odwoływało się również do tradycji. W okresie świąt Bożego Narodzenia następowało wzmocnienie reklam drogich kosmetyków (idealnych prezentów i dziś) oraz jedzenia – różnego rodzaju proszków do pieczenia, ryb, herbaty i kawy itd. Reklamy te najczęściej pokazywały radosne rodziny, pojawiały się na nich choinka lub kojarzące się z atmosferą świąteczną wypieki. W warunkach przedwojennych reklamodawcy reagowali także na główne święta żydowskie, przede wszystkim Pesach. Również polskie firmy chwaliły się wtedy certyfikatami koszerności, a niektóre przedsiębiorstwa odwoływały się w reklamach do motywów znanych z żydowskiej religii i tradycji. Dobrym przykładem był producent tłuszczu jadalnego Ceres, na którego reklamach można znaleźć rysunki przedstawiające wieczerzę sederową albo postaci czterech synów z Hagady na Pesach.

Ale były i takie, które odwoływały się nie do tradycji, a nowoczesności. Nie było wtedy co prawda elektroniki, ale była elektryka, więc warszawska elektrownia miejska mogła śmiało ogłaszać w 1938 roku „Gwiazdkę pod znakiem elektryczności” i organizować przedświąteczną sprzedaż żelazek, grzejników i czajników na prąd. Na reklamie radioodbiorników Radio-Union znalazło się w tym samym roku hasło „Najdoskonalsze supery na rok 1939” – to tylko skromny przykład wkraczania w świat marketingu modnego i wówczas języka angielskiego. Coraz czulsze słuchawki, coraz wydajniejsze baterie i coraz lepsze radioodbiorniki... wszystko to brzmi, jak hasła reklamujące dzisiejsze tablety i smartfony.

Ale podobna do dzisiejszej była przed wojną nie tylko reklama. Ci ludzie byli nam bardzo bliscy. W wielu obszarach kraju szalała prawdziwa nędza, ale społeczeństwo galopowało. Gros mieszkańców przedwojennej Polski było już dziećmi nowoczesności i miało niemal te same pragnienia i potrzeby co my – często równie wymyślne. Ekscytowali się techniką, chcieli dobrze żyć,

bawić się, pachnieć i wyglądać jak rasowi przedstawiciele XX wieku. Dzięki wolności i swobodzie mogli pozwolić sobie na to, by do ich codziennych trosk dołączyła walka z pryszczami, kamieniem nazębnym i rozdzwajającymi się końcówkami włosów.

PS

Reklama reklamą, ale czasem produkt broni się sam i nie wymaga żadnych wyrafinowanych chwytów. Bezspornie najlepszym przykładem był produkowany w Lublinie środek do tuczenia trzody chlewnej o wdzięcznej i prostej nazwie TUCZOL. Tuczył szybko i dawał smak. Czasem wystarczy tyle i wielka świnia na etykietce.

Piotr Nazaruk

Od góry od lewej: Pepege, „Handelswelt”, 3 V 1928; Centra-Mikro, „Cajt”, 20 I 1928; Mydło Rewolwer, „Nasz Przegląd Ilustrowany”, 2 IV 1933; Gwiazdka pod znakiem elektryczności, „Dobry Wieczór”, 15 XII 1938; Tuczol, Wiadomości Urzędu Patentowego, 31 XII 1930; Najlepsza chała udaje się tylko z tłuszczem Ceres, „Unzer Grodner Express” 11 IX 1930



WYDAWCA  
Osrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”  
POMYSŁODAWCA, KOORDYNATOR PROJEKTU  
Tomasz Pietrasiewicz  
REDAKTOR PROWADZĄCY  
Małgorzata Domagała  
REDAKCJA  
Marcin Fedorowicz, Grzegorz Jędrak, Łukasz Kijak,  
Agnieszka Łukoczy-Sulej, Piotr Nazaruk, Maciej  
Pałka, Maciej Tuora, Wioletta Wejman, Joanna Zętar  
STAŁA WSPÓŁPRACA  
Tomasz Dostatni OP,  
Paweł Próchniak, Marcin Bieleś  
OPIEKA WYDAWNICZA DRUK  
Agnieszka Wiśniewska Petit S.K. Lublin  
KOREKTA DYSTRYBUCJA  
Teresa Markowska Magdalena Krasuska  
LAYOUT NAKŁAD  
Małgorzata Rybicka 3000 egzemplarzy  
SKŁAD Gazeta dostępna również  
Monika Tarajko na stronie internetowej  
FOTOEDYCJA teatrnn.pl/para  
Karol Grzywaczewski

KONTAKT Z REDAKCJĄ  
e-mail: pa.ra@tnn.lublin.pl  
ul. Grodzka 21,20-112 Lublin, tel.: 81 532 58 67



TEATR NN .PL  
LUBLIN  
1918 — 2018  
Inspiruje nas wolność

INSTYTUCJA  
KULTURY  
MIASTA LUBLIN

Lublin  
MIASTO INSPIRACJI